

KONKRETY

**NIE CHCEMY
ODWETU**

5

**ZNALEŹĆ
SWOJE MIEJSCE**

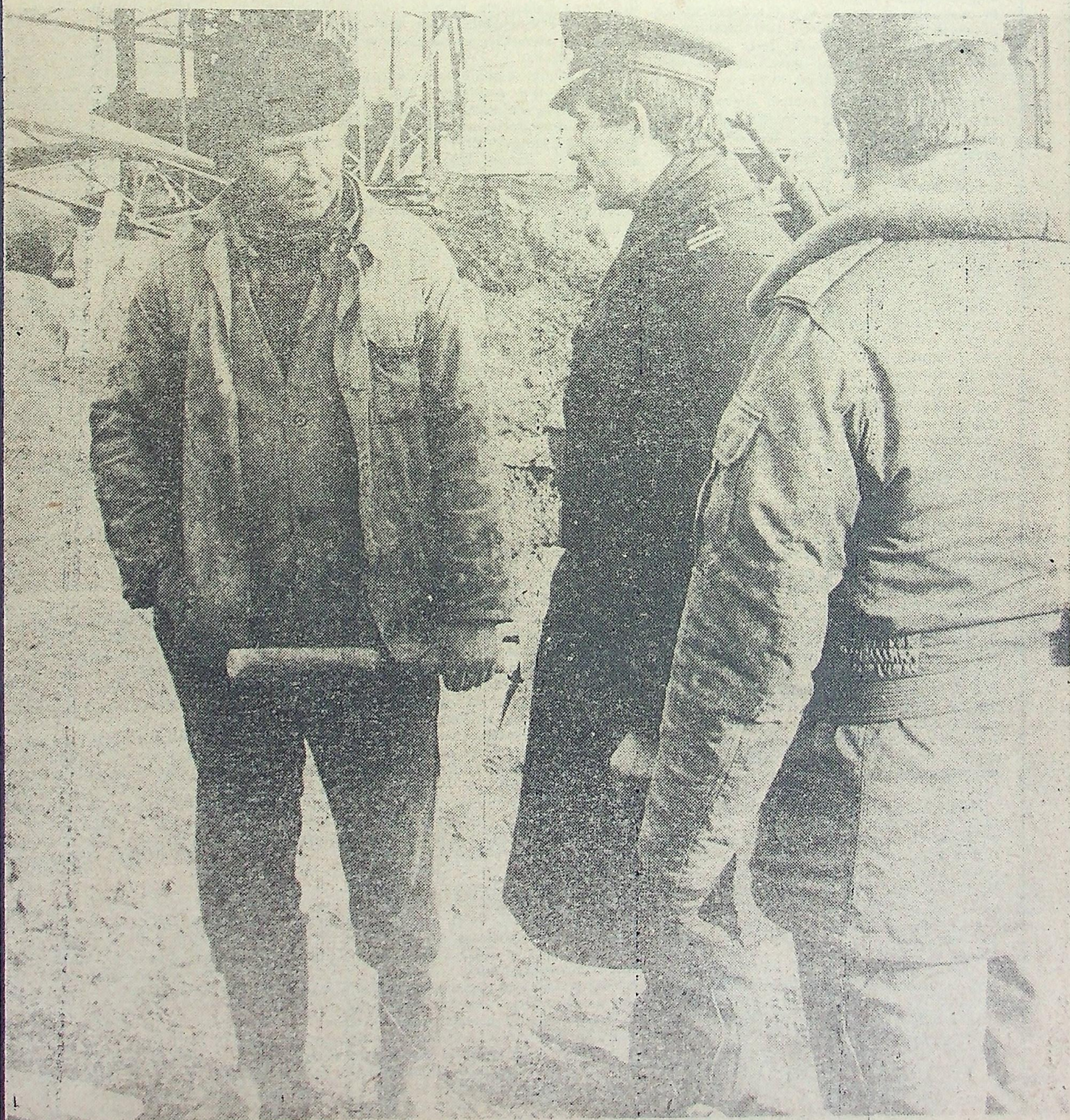
6

**BOMBA
WYPEŁNIONA MITEM**

10

**TERAZ
NAS ZAŁATWIĄ...**

11



Fot. Krzysztof Raczowski

FOTOREPORTAŻ KRZYSZTOFA RACZKOWIAKA „WIZYTA” NA STR. 8-9.

10 lutego w Lubinie odbyło się inauguracyjne posiedzenie Miejskiego Obywatelskiego Komitetu Ocalenia i Porozumienia Narodowego. Komitet liczy 85 osób, które reprezentują wszystkie środowiska społeczno-zawodowe oraz organizacje społeczne i polityczne. Funkcję przewodniczącego powierzono Zdzisławowi Jurczykowi, sekretarzem został Alojzy Wadławek.

Komitet opracował szczegółowy zakres działania i zadania na najbliższą przyszłość, uchwalił także apel do mieszkańców miasta.

Na posiedzeniu komitetu wręczono, ustanowione dopiero w tym roku — na wniosek Komisji Współdziałania Partii i Stronnictw Politycznych oraz grupy inicjatywnej KON, nagrody prezydenta miasta Lubina. Otrzymały je: Paulina Dudowa, Józefa Sikorska, Irena Mrówczyńska i Jan Werbo-
wy.



Fot. Krzysztof Raczkowiak wszyscy z PBKR w Lubinie.

Powstały w ubiegłym tygodniu w Lubinie Miejski Komitet Ocalenia i Porozumienia Narodowego zorganizował 11 bm. uroczyste spotkanie pokoleń z okazji 37 rocznicy wyzwolenia miasta. W trakcie uroczystości, w której wziął udział pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju mjr Janusz Pacholec, przedstawiciele PGWAR i mieszkańcy Lubina, wręczono wiele odznaczeń państwowych i regionalnych. Na zdjęciu: Z rąk przewodniczącego MRN Stanisława Kulczyńskiego Ordery Sztandaru Pracy II kl. otrzymują: Leszek Mazurkiewicz, Eugeniusz Mokrzyński i Józef Nowak —

JAK PRACOWALIŚMY W STYCZNIU

Wchodzi w życie reforma gospodarcza. Jej zasady zaczęły już obowiązywać w styczniu. Otrzymały one wyniki tego miesiąca w Legnicy jeszcze bardziej utwierdzają w przekonaniu, że przestawianie naszego życia gospodarczego na inne, nowocześniejsze i racjonalniejsze kryteria jest procesem trudnym, a na wyraźne wyniki trzeba będzie jeszcze długo poczekać.

O 5,8 proc. mniej (w cenach zbytu z 1982 r.) w porównaniu ze styczniem ub. roku sprzedaż przemysł woj. legnickiego. Jednocześnie przy 3—9-proc. spadku zatrudnienia w tej gałęzi gospodarki aż o 14,2 proc. wzrósł fundusz płac. Przeciętna płaca netto wyniosła w styczniu 9958 zł i w porównaniu z analogicznym miesiącem ub. roku wzrosła o 18,9 proc., czyli o 1583 zł, zaś wydajność pracy jednego zatrudnionego, liczona wartością robót i usług (w cenach 1982 r.) spadła o 2 proc.

Na relacje ekonomiczne zachodzące w przemyśle Legnickiego duży wpływ ma oczywiście sytuacja w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi. Wzrosło w porównaniu ze styczniem 1981 r. wydobycie rudy — o 9,1 proc., ale zmniejszyła się o 19,5 proc. produkcja miedzi elektrolitycznej. Spadło nieznacznie zatrudnienie (o 2,9 proc.). Jednocześnie osobowy fundusz płac był o 14,4 proc. wyższy niż przed rokiem, a przeciętna wypłata wyniosła 12 328 zł, czyli wzrosła o 17,9 proc.

Reasumując wyniki przemysłu trzeba przyznać, że utrzymały się złe tendencje ekonomiczne, które szczególnie negatywnie oddziaływały na naszą gospodarkę i rynek w ub. roku: spada wydajność pracy i sprzedaż wyrobów oraz usług przy jednoczesnym wzroście wypłat. Tendencje te w dużej skali zanotowało też legnickie budownictwo. I tak o 27,3 proc. spadła wartość obrotu globalnego przedsiębiorstw budowlanych. O 21,9 proc. była niższa produkcja podstawowa. W porównaniu ze styczniem ub. roku zmniejszyło się o 8,9 proc. przeciętne zatrudnienie. Natomiast płace przy 20,2-proc. spadku wydajności jednego zatrudnionego, wzrosły o 15,4 proc.

Niepokojące są zjawiska zachodzące w rolnictwie naszego województwa. W okresie lipiec-styczeń 81—82 skupiono w porównaniu z analogicznymi miesiącami 80—81 mniej zbóż. I to aż o 23 proc. W styczniu br. zanotowano skup (w przeliczeniu na wagę mięsa) 3978 t żywca rzeźnego, czyli o 3,6 proc. mniej niż przed rokiem. Mniejszy był też skup mleka (o 3,3 proc.) i jaj (o 34,4 proc.).

W styczniu 1982 r. rolnicy zakupili 8173 t nawozów sztucznych, a więc o 21,5 proc. więcej niż przed rokiem. Niższy był stan zapasów tych nawozów. 31 stycznia 1982 r. wynosił on 2978 t, czyli o prawie 80 proc. mniej niż w tym samym dniu roku ubiegłego. O 40,3 proc. mniej sprzedano komunalnych. Mniej też, jak stwierdza komunikat Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego sprzedano materiałów ściennych (o 92,4 proc.) i wyrobów hutniczych (o 66,8 proc.), a więcej cementu (o 5,3 proc.) i płyt azbestowo-cementowych (o 137 proc.). (ch)

CZEKAJĄ NA WIOSNĘ

Mimo że tegoroczna zima w kraju jest długa i ostra, drogowcy legnickiej Dyrekcji Rejonowej Kolei Państwowych nie mieli z nią zbyt wielu kłopotów. Nie było za dużych opadów śnieżnych, a ponadto wcześniej odpowiednio zabezpieczono wszystkie linie kolejowe. Ustawiono zasłony przeciwnieźne (ploły i żywoploły) oraz zabezpieczono ogrzewane zwrotnice na stacjach w Legnicy i Miłkowicach.

Przez cały czas pełni się stale dyżury, pracuje pogotowie awaryjne, które systematycznie naprawia popękane szyny. Tych jednak odnotowano sporo, gdyż występowały duże skoki temperatury. Nie wytrzymały stare szyny (mamy ich bardzo dużo i to z lat 1920—40), a nawet nowe. Awarie szybko usuwano dzięki operatywnej pracy grup roboczych. W tej materii na szczególne wyróżnienie zasłużyły grupy robót Sylwestra Łacha (Sektora Drogowa Legnica — utrzymanie szlaku w kierunku Jawora), Antoniego Wawrzyniaka (Malczyce-Legnica) i Józefa Kryłowskiego (stacja Legnica).

Zima jeszcze trwa, ale legnicy kolejarzy już myślą o wiosnie. Obserwujemy wprowadzenie widoczne zmniejszenie się w ruchu, lecz nie zwalnia to drogowców z ich codziennych obowiązków. Stan torów na poszczególnych liniach nie przedstawia się najlepiej. Dotyczy to w pierwszej kolejności ruchliwej linii Legnica — Wrocław. Na tym odcinku w latach 60 ułożono nawierzchnię na podkładach strunobetonowych, które po latach eksploatacji nie wytrzymują obciążenia i trzeba je sukcesywnie wymieniać. Równie poważne zadanie czeka drogowców w rejonie Złotoryi i Chojnowa. Kamieniolomy w Krzeniowie zapowiedziały znaczne zwiększenie produkcji, a więc automatycznie wzrosną przewozy. Do 1981 r. całkowicie zmodernizowano trasę z Legnicy do Złotoryi, którą można przewozić ciężkie ładunki. Gorzej natomiast z odcinkiem Złotoryja—Chojnów oraz samymi stacjami. Jakość torów jest bardzo słaba i wymaga pełnej modernizacji. Jak dotychczas kolejarzy ograniczają się do napraw bieżących. Na wykonanie kompleksowych nie mają bowiem możliwości technicznych. Otrzymały wprowadzić nowy sprzęt — wysokowydajne przesiewarki tłuczni, takie same podbijarki firmy Plasser i podbijarki do rozjazdów — ale do pełnego sześcienia brakuje (oczekują na pomoc Dolnośląskiej DOKP) pociągu zmechanizowanego, przy pomocy którego można by dokonać całkowitej wymiany ponad 20 km torów ze Złotoryi do Chojnowa. Ciągłe też — zwłaszcza ostatnio — brakuje niezbędnych materiałów, a szczególnie podkładów, szyn i śrub stopowych. Jeśli chodzi o ludzi, to obecnie obserwuje się napływ amatorów podjęcia pracy w tej służbie, brakuje jednak fachowców-drogowców.

Pomimo tych znacznych trudności kolejarzy zamierzają zrealizować swoje zadania. Skoncentrują się one na wspomnianych liniach do Wrocławia, Złotoryja — Chojnów, a ponadto modernizować się będzie linia trasy Piekary Wielkie — Miłkowice, a przy pomocy PRK 8 wymienią podsyphę na trasie z Wrocławia i z Miłkowic do Węglinca. Wszystkie te prace ruszą w pełni w momencie nastania wiosny, a znając ofiarność i rzetelność pracę kolejarzy należy się spodziewać, że tegoroczne zamierzenia zostaną w pełni zrealizowane. (Zet)

MIEDZOWE WIEŚCI

● Rok miniony zapisze się w historii KGHM nie tylko słabszymi, od potencjalnych możliwości, wynikami gospodarczymi. Wzrosła znacznie liczba nieszczęśliwych wypadków przy pracy. W roku 1981 wydarzyło się ich o 90 więcej niż w poprzednim. Średni okres niezdolności do pracy z tytułu wypadku wyniósł 40 dni, a łączna liczba dni straconych ponad 63 tysiące.

Największą zwykłą liczbę wypadków zanotowano w ZG „Konrad” w Iwinach, w ZG „Sieroszowice”, w Zakładzie Robót Górniczych w Lubinie i Hucie Miedzi „Głogów”. Znacznie mniej wypadków niż w roku ubiegłym wydarzyło się w ZG „Lubin” i ZG „Polkowice”.

Specjaliści twierdzą, iż na przyczyny wypadkowego boomu złożyło się łamanie dyscypliny technologicznej i dyscypliny pracy oraz lekceważenie przepisów bhp — z reguły przez ofiary wypadków.

● Po raz pierwszy od pięciu lat bez zakłóceń pracują elektrociepłownie ZG „Lubin” i ZG „Polkowice” — fabryki ciepła dla Lubina i Polkowic. Dostawy węgla nadchodzą regularnie, bez monitów, ponaglań i interwencji na wysokich szczeblach. Zapasy tego paliwa w obu ciepłowniach są zbliżone do optymalnych. Tak więc, nawet w przypadku nagłego nawrotu zimy i ewentualnego zachwiania dostaw ze względu na trudności transportowe, mieszkańcom obu górniczych miast nie zagrazi w tym roku widmo chłodu. Niestety, są także negatywy: brakuje wielu części zamiennych, a głównie aparatury kontrolno-pomiarowej.

● Prawdopodobnie już z początkiem marca do zakładowych ośrodków wypoczynkowych KGHM wyjadą pierwsi wczasowicze. Ogółem, do końca bieżącego roku, będzie w nich wypoczywało około 11 tysięcy ludzi — górników, hutników, pracowników zaplecza oraz członków ich rodzin.

Związana z reformą gospodarczą podwyżka cen detalicznych spowoduje znaczny wzrost kosztów pobytu na wczasach. Z szacunkowych obliczeń wynika, że koszt 14-dniowego pobytu w domu wczasowym I kategorii wyniesie ogółem około 9 tysięcy złotych. Szacuje się, że dwie trzecie tej sumy będzie pokrywał zakład pracy z funduszu socjalnego, pozostałą część — pracownik. Ostateczne decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły.

● W rejonie eksploatacyjnym kopalni „Rudna” zalegają złoża miedzi o bardzo dużej miąższości. W niektórych przypadkach ich grubość sięga 20 metrów. Jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych mówiło się, że ich eksploatacja będzie niemożliwa ze względu na brak odpowiednich technologii wybierania tak grubego złoża.

Problem rozwiązały specjaliści z „Rudnej”. Opracowali całą rodzinę systemów eksploatacji grubych złóż, które nie tylko zapewniają bezpieczną eksploatację pokładów 20-metrowych, lecz gwarantują bardzo czyste wybieranie złoża — straty wahają się w granicach od kilku do kilkunastu procent. Już dziś można powiedzieć, że nie mają one odpowiedników w górnictwie światowym. Jeden z systemów został opatentowany.

ZIELONY TELEFON

Jeśli pasjonuje cię wojsko, nowoczesna technika, jeśli pragniesz zostać dowódcą i wychowawcą żołnierzy, specjalistą jednego z wielu rodzajów wojsk — wybierz jedną z wojskowych szkół zawodowych. Zrealizujesz tu własne życiowe plany — zdobędziesz ciekawy i pożyteczny zawód.

Aby pomóc w tym ważnym wyborze podpowiadamy, że tym, którym nie poszczęściło się na egzaminach dojrzałości, wojsko umożliwia nie tylko zdobycie zawodu, ale i matury, poprzez naukę w szkołach chorążych i podoficerskich szkołach zawodowych. Po zdaniu egzaminu dojrzałości można ubiegać się o przyjęcie do akademii wojskowych i wyższych szkół oficerskich.

W kraju istnieją 3 akademie, 11 wyższych szkół oficerskich i 13 szkół chorążych. Można tu zdobyć zawód lekarza, inżyniera, ekonomisty, mechanika itp. Po ukończeniu uczelni czy szkoły i promowaniu odpowiednio na podporucznika czy młodszego chorążego, w zależności od profilu ukończonej szkoły, można służyć w Marynarce Wojennej, Wojskach Ochrony Pogranicza, być kwatermistrzem czy oblatywać samoloty.

Oczywiście, aby móc służyć w wojsku, trzeba spełniać odpowiednie warunki. Najbardziej ogólnie można powiedzieć, że są one następujące: wiek do 24 roku życia, stan wolny, zdolność do służby wojskowej, obywatelstwo polskie, odpowiednie wartości moralne i polityczne oraz pomyślne zdanie egzaminów i przejście badań kwalifikacyjnych.

Wszyscy ubiegający się o przyjęcie składają podania do komendanta wybranej szkoły za pośrednictwem Wojskowej Komendy Uzupelnień.

Szczegółowe informacje o warunkach nauki w szkołach wojskowych uzyskasz dzwoniąc w każdy piątek w godzinach od 12 do 15 pod nr tel. 250-77 lub 250-76 w Legnicy oraz 334-71 w. 648 w Głogowie. Natomiast od godziny 15 do 16.30 do naszej redakcji pod nr tel. 214-77.

MOTO - USŁUGI DROŻSZE

Po 60-procentowej podwyżce cen usług, posiadaczy samochodów czeka kolejna zmiana cen. Od 15 lutego wejdą w życie nowe ceny części zamiennych.

W przypadku najpopularniejszych naszych samochodów, małych i dużych fiatów, będzie to wzrost 2,2—2,5-krotny. Np. tylny most do dużego fiata będzie kosztował 66,7 tys. zł, a białnik 2,5 tys. zł, gdy poprzednie ceny wynosiły 23 tys. zł i 1 tys. zł. Nie podróżują na razie te części, które produkują kooperanci fabryk samochodów, a więc akcesoria gumowe i plastikowe, szyby i tapicerka.

Jak nas poinformowano w lubińskim „Polmozbycie”, mimo podwyżki cen usług w listopadzie ub. roku, zapotrzebowanie na nie nadal jest duże. W przypadku Lubina podwyżka ta nie zmieniła zasadniczo sytuacji ekonomicznej placówki, gdyż także dotychczas była ona dochodowa.

Pojawia się więc postulat, by w przyszłości decyzje cenowe wprowadzać w życie elastycznie. Tak, aby stacje obsługi pracujące źle i przynoszące straty nie poprawiały swojej sytuacji kosztem ogólnych podwyżek i drenowania kieszeni klienta.

KTO ZAPŁACI RACHUNEK

Dwa tygodnie temu, w Gdańsku, doszło — jak wiadomo — do poważnych incydentów ulicznych, wywołanych przez zorganizowane grupy młodych ludzi. Termin zająć zbiegł się z ogłoszonym przez prezydenta Reagana „dniem solidarności z Polską”. Tylko naiwni mogliby wierzyć, iż była to zbieżność przypadkowa. Ostatnio, w sobotę 13 lutego w Poznaniu miały miejsce próby zakłócenia porządku publicznego, w Warszawie obrzucono butelkami z benzyną pomnik F. Dzierżyńskiego, a na stacji benzynowej w Lubinie podłożono wykonaną domowym sposobem bombę (patrz str. 4).

Z niektórych miejscowości w kraju napływają sygnały o kolportowaniu ulotek o treści antypaństwowej. Ulotki nie są wyszukane ani w treści, ani w formie. Zwracają w nich natomiast uwagę dwie rzeczy: zbieżność języka i treści kolportowanych haseł z językiem i treścią instruktażowych audycji „Wolnej Europy” oraz rosnąca agresywność tonu.

Już autorom ulotek nie wystarczają próby nawoływania do bierności w pracy, teraz znów używają zaczynają do konspiracji przeciw władzy państwowej, ponownie, podsycając nastroje awanturnicze. Wyznaczają terminy konfrontacji. Zaczynają padać groźby: „śmierć czerwonym”, zapewnienia, że „dojdzie do krwawej wojny domowej”.

W imię czego? Tego albo nie piszą, lub też cel formułują bardzo ogólnie i niejasno: np. w imię „prawdziwej demokracji”. Nie dodają tylko, czy o taki właśnie typ demokracji im chodzi, jaki zaczęli wprowadzać liderzy „Solidarności”. Tu i ówdzie próbuje się docierać z pomysłami konspiracyjnymi do młodzieży szkół średnich, tu i ówdzie organizuje prowokacje wobec robotników, lojalnie i rzetelnie wykonujących swe pracownicze i społeczne obowiązki.

Nie są to wszystkie zjawiska o szerszym zasięgu. Przeciwnie — mają charakter incydentalny, lokalny, nie towarzyszy im dostrzegalny rezonans społeczny. Trudno je porównywać z tym, co działo się przed 13 grudnia.

Byłoby groźnym złudzeniem sądzić, że wprowadzenie stanu wojennego, niewątpliwie zbawienne dla kraju — a po dwóch zimowych miesiącach można tu już wyraźnie tak właśnie oceniać — wyeliminowało wszystkie zagrożenia, które uprzednio dawały o sobie znać z rosnącą siłą.

W różnych środowiskach znajdują się przecież ludzie, którzy nie tylko nie zaprzeczali decyzji Rady Państwa i Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, lecz potraktowali je wręcz wrogo. Ludzie o zawieszonych nadziejach politycznych, o zawieszonych nadziejach osobistych — m.in. nadziejach na obywatelstwo im osztańcujące awanse w hierarchii społecznej; część młodzieży, w której rozbudzone prężące ambicje, którą faszermowano fałszywymi, lecz wzniosłymi hasłami, kreowano na przyszłych, romantycznych bohaterów... Niektórzy z nich zapewne palają żądzą odwetu.

Dodajmy do tego ludzi wystraszonych, którzy nie potrafią się jeszcze wydobyć spod ciężaru presji psychicznej, jaką na nich przez kilkanaście miesięcy wywierano.

Dodajmy wielu innych, którym po prostu nadal jest żyć trudno, bo przecież nasza codzienność, choć bezpieczniejsza, jest wciąż jeszcze bardzo uciążliwa. Szarpie nimu nieraz zwyczajny, naturalny odruch gniewu. A człowiek w gniewie nie zawsze nad sobą panuje.

Wszystko to razem tworzy określoną strefę zagrożeń. Te same sily, które przed 13 grudnia pchały naród polski ku tragicznej katastrofie, starają się i będą się starały strefę tę wykorzystać. Temu celowi służy przecież cała, zaciekle kampania antypolska prezydenta Reagana i jego najbliższych sojuszników, temu służy zjadły, agresywny atak propagandowy „Wolnej Europy” i innych dywersyjnych rozgłosu.

Czy rzeczywiście w interesie Polski? Mówimy otwarcie: A co ich właściwie Polska czy interesy polskiego narodu obchodzi? Nasza demokracja, nasz sposób życia? Wszystkie slogany na ten temat to tylko kamuflaż dla własnych globalnych interesów. Owszem, interesuje ich to, aby w Polsce nie było spokoju. Nawet i to, aby w Polsce jednak polatała się krew. Nie będzie to przecież ich krew, a użyją jej dla własnych celów politycznych. I — dodajmy — ku uwadze rodzinnych zwolenników romantycznych zrywów — nie byłaby to tylko krew „czerwonych”.

Na interesie Polski, narodu polskiego, waży dziś — i może tak, jak rzadko w historii — spokój i zgodna praca. W tym tkwi podstawa niezbędnych i oczekiwanych przemian. Banalne? Rzeczywiście. Ale po stokroć prawdziwe. I dziwić się tylko wypada, że ta prawda nie do wszystkich Polaków jeszcze dociera, że nie rozumieją jej niekiedy także ci, którzy lubią szczyścić się swą inteligencją lub swym duchowym postępowaniem. Zdziwienie budzą sygnały o zdarzających się prowokacyjnych wystąpieniach, o jęczących gestach politycznych niektórych przedstawicieli kleru. Czy istotnie wiedzą, co czynią?

Ow spokój, warunki dla zgodnej pracy, zapewnią dziś wprowadzony stan wojenny. Jest to przecież stan przejściowy o szczególnych rygorach. Budowanie zaś trwałego spokoju, atmosfery rzeczywiście twórczego, powszechnego wysiłku, wymaga czegoś więcej; szerokiego, społecznego współudziału, aktywnego zaangażowania rozumnej, patriotycznej i wcale nie małej części naszego społeczeństwa.

Powinniśmy wyciągnąć nauki z lekcji otrzymanej przed grudniem, z której m.in. wynika — że bierność, brak reakcji na to, co wokół nas się dzieje, zachęca jedynie i umacnia awanturniczą mniejszość. Czy mielibyśmy znów kiedykolwiek godzić się na rolę zakładników w rękach ludzi sięgających po środki terrorystyczne?

Toteż — powtórzmy — nie wolno lekceważyć dziś tego, co tylko incydentalne, jednostkowe, ekstremalne.

Nie wolno nam przechodzić obojętnie wobec prób najmniejszych nawet społecznej nieodpowiedzialności, wywołania w naszym ojcystym domu kolejnych niepokojów, złośliwego rozdrapywania tego, co jeszcze dalekie od zablźnienia. Dlatego również, abyśmy kiedyś do listy ludzi, którzy tak namiętnie czasem chcemy dziś rozliczać, nie musieli dopisywać i siebie — jako winnych zaniedbania. Winnych wobec siebie i swoich bliźnich. Rachunku nie będzie bowiem płacić ani „Wolna Europa”, ani jej mocodawcy.

MARIAN KUSZEWSKI

KONKRETNE PYTANIE

Płock, Włocławek — to nazwy miast, które od kilku tygodni kojarzą się z tragedią powodzi. W Legnickim aż nadto dobrze wiemy co oznacza to słowo. Czy jesteśmy przygotowani na odparcie ewentualnego zagrożenia?

Z tym pytaniem zwracamy się do sekretarza Wojewódzkiego Komitetu Przeciwpowodziowego w Legnicy ANTONIEGO WEREMKO.

— Utrzymujemy ciągle gotowość przeciwpowodziową. Wszyscy nasi ludzie zgrupowani w gminnych i miejskich komitetach przeciwpowodziowych są zobowiązani do bieżącej analizy sytuacji na swych oddziałach. Również stale korzystamy z dostarczanych nam prognoz meteorologicznych. Zbierze oceny wysyłamy wojewodzie legnickiemu, który jest zarazem przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Przeciwpowodziowego. Wnioski wypracowujemy z każdej powodzi, która nawiedza nasz region. Pozwala nam to coraz lepiej przygotowywać się do walki ze skutkami żywiołu. Muszę jednak zaznaczyć, że nie na wiele zdadzą się nasze wysiłki, gdy przyjdzie do walki z ciągłymi opadami — przec. 100 mm na dobę — tak jak miało to miejsce w zeszłym roku. Urządzenia melioracyjne nie są przygotowane na przyjęcie takiej masy wody. Robimy wszystko, by je umacniać, sypimy nowe wały na przykład w okolicach Przypkowa. Projektujemy także budowę wału przy ulicy Głogowskiej w Legnicy, którą wdarła się woda 5 lat temu. Powódź 1977 roku wiele nas nauczyła. Zmieniliśmy organizację Wojewódzkiego Komitetu Przeciwpowodziowego, utworzyliśmy robocze zespoły, które obejmują swym działaniem wszystkie gałęzie gospodarki województwa.

● Mówił pan, że utrzymujecie ciągle gotowość. Czy można już dziś mówić o stanie zagrożenia?

— Nie. Notowania poziomu wód nie niepokoją nas jeszcze. Na przykład poziom Kaczawy w Legnicy wynosi obecnie 90 cm, podczas gdy stan alarmowy określa się na 200 cm. Mimo to czuwamy. Komitety przeciwpowodziowe w miastach i gminach otrzymały polecenie uaktualnienia swych planów akcji przeciwpowodziowych. Na wszelki wypadek zgromadzono w PKPS koce, odzież i żywność z przeznaczaniem dla ewentualnych powodzi. Ponadto województwo ma możliwość przerzucenia środków pomocy z handlu. Jesteśmy gotowi do akcji i działania z marszu. Uzgodniłyśmy plany współdziałania z siłami porządkowymi i wojskiem. Muszę jednak zaznaczyć, że ze sprzętu wojskowego korzystamy w ostateczności. Jego eksploatacja jest bardzo droga. Sądzę, że z „normalną” powodzią daliśmy sobie radę środkami cywilnymi. Mamy rozeznanie, które punkty są najbardziej narażone na działanie wody.

● Mówi pan jednak w przeważającej mierze o walce ze skutkami powodzi...

— Tak. Co nie zmienia faktu, że z dużymi nadziejami oczekujemy na realizację rządowego projektu inwestycji przeciwpowodziowych dla województwa legnickiego. Opracowano go po powodzi w 1977 roku, a ostateczny termin realizacji opiewa na rok 2000. Obecnie jesteśmy na etapie usuwania jej skutków, co zarazem stanowi pierwszy cel wspólnego programu. Od 1975 roku straty, jakie poniosła gospodarka narodowa w wyniku powodzi w naszym województwie szacuje się na 4 mld zł. Jesteśmy przekonani, że można było te pieniądze wydać na budowę zbiorników retencyjnych oraz innych urządzeń melioracyjnych i tym samym uniknąć olbrzymich strat. Musimy jednocześnie pamiętać, że nasz region rozwija się w szybkim tempie i tego typu inwestycje stają się coraz bardziej potrzebne. Nie uciekniemy od nich.

Rozmawiał: (jab)

Już dwa miesiące trwa stan wojenny. W tym czasie każdy dorosły Polak niewątpliwie analizował wydarzenia, jakie miały miejsce w ciągu piętnastu miesięcy przed 13 grudnia 1981 roku oraz po tym dniu — do dziś. Oceny i opinie o tym okresie, a właściwie o dwóch okresach są różne, nawet nierzadko przeciwstawne, to naturalne. Dwa jednak zjawiska dostrzegają i stwierdzają w zasadzie wszyscy.

DLACZEGO ZASKOCZENIE I ZDUMIENIE?

Pierwszy — że przez piętnaście miesięcy żyliśmy w chaosie, który w miarę upływu czasu natężał się, a od sierpnia ub. r. po prostu uszy „pekęły” od politycznych losów i grzmotów. Sytuacja gwałtownie zmieniła się 13 grudnia: nagle nastąpiła cisza. Ta błyskawiczna zmiana sytuacji wywołała zdumienie. Opanowało ono przede wszystkim sprawców chaosu społecznego. Przecież cieszyli się, radowali, bo byli dumni, i nawet bułni, że wszystko mogą zrobić w kraju co zechcą.

W stanie zdumienia pozostaje do dziś sporo Polaków, a także wielu polityków burżuazyjnych, którzy byli pewni, że wystarczy silne uderzenie „Solidarności”, aby władze państwowe wszystkich szczebli rozpadły się. Stąd też zdumienie i pytania: co spowodowało? Jak to było możliwe? Dlaczego nie wystąpili solidarnie?

Jest faktem, że sierpniowy protest strajkowy w 1980 roku sparaliżował życie w całym kraju. Na fali tego protestu kształtował się potężny związek zawodowy „Solidarność”, który, jak później obliczono, liczył prawie dziesięć milionów ludzi pracy. Z prostego działania arytmetycznego wynikało, że w każdej rodzinie był przynajmniej jeden członek „Solidarności”. Około drugie tyle ludzi sympatyzowało z tym nowym ruchem zawodowym, czyli prawie całe dorosłe społeczeństwo znajdowało się pod wpływem „Solidarności”.

Z POWYŻSZEGO WNIOSEKOWANO,

że nawet ci ludzie, którzy nadal związani są z PZPR i władzami państwowymi, tylko formalnie wykonują obowiązki. W przypadku więc generalnej rozgrywki między „Solidarnością” a władzami państwowymi i oni przejdą na stronę związków, a w najgorszym przypadku zachowają się obojętnie. Z tej kalkulacji sił zrodziła się teza o następującym podziale narodu: z jednej strony nie tylko „Solidarność”, lecz społeczeństwo pod jej wpływem (80 procent), z drugiej zaś wąska warstwa społeczna tworząca władzę (1 procent), jak to ocenili przywódcy KOR i zarządcy doradcy „Solidarności”.

Teza ta była intensywnie popularyzowana w publikacjach prasowych oraz w propagandzie verbalnej. A w dokumentach oficjalnych, jak uchwały i inne postanowienia, używano określeń w rodzaju: projekt ustawy, propozycja, stanowisko „władz państwowych” lub „rządu”, a analogiczne zwroty strony „Solidarności” określano jako „społeczne”. I to kierownictwo „Solidarności” traktowało jako zasadniczy atut w swojej działalności negocjacyjnej oraz w propagandzie.

Prawie zawsze przedstawiciele „Solidarności” bezceremonialnie szantażowali w rozmowach komisje reprezentujące władze państwowe właśnie tym zasadniczym argumentem, że za nimi stoi zorganizowane w związku zawodowym dziesięć milionów ludzi, a faktycznie całe społeczeństwo. Ta niejasność naczuła miała uzasadnić tezę o tak zwanej pełnej suwerenności „Solidarności”. Wszystkie więc swoje decyzje kierownictwo tego związku traktowało jako bezwarunkowo słuszne, całkowicie legalne i nawet nie podlegające krytyce, w tym również te decyzje, które godziły w obowiązujący porządek prawny. A w przypadku występowania organów państwowych przeciw tym anarchizującym czynom, z reguły określano to jako prowokację.

Przekonanie o wszechpotęgnej i pełnej jedności „Solidarności” utwierdzało się również dlatego, że inicjatywy protestacyjne spotykały się zwykle z poparciem członków tej organizacji w skali krajowej, w regionach i zakładach produkcyjnych. Mnóstwo akcji protestacyjnych ogólnie inspirowano z premedytacją, a jednocześnie przedstawiano je jako spontaniczne. Nawet publicznie pozorowano dezaprobatę dla tych przedsięwzięć. Faktycznie zaś chciano pokazywać

niby autentyczną prężność, potęgę regionalnych i zakładowych organizacji „Solidarności”. Robiło to duże wrażenie i miało zastraszające, zmuszające je do ustępstw. I faktycznie prawie każda akcja „Solidarności” kończyła się ustępstwami władz państwowych. Tak było też jesienią 1980 roku oraz jeszcze wiosną 1981 roku.

Na początku lata nastroje wśród robotników „Solidarności” zaczęły jednak ulegać zmianie. Coraz wyraźniej dostrzegano bowiem, że strajkami można wywierać na rządzie zwiększenie produkcji banknotów i w ten sposób podnosić płace. Ale tego rodzaju operacje nie prowadziły do oczekiwanych rezultatów, lecz wprost przeciwnie — pogłębiały kryzys, a w konsekwencji pogarszały sytuację materialną ludzi pracy.

I WTEDY, NA POZĄTKU LAT

ubiegłego roku zaczęły się rozchodzić drogi kierownictwa i rzeszy członkowskich „Solidarności”. Podczas spotkań i wieców już nie noszono przywódców na ramionach, nie słychać było gromkich oklasków, jak to było w początkowym okresie istnienia tej organizacji. W lecie 1981 roku entuzjazm był szybko wypierany refleksjami nad stanem kraju, zwłaszcza jego gospodarki. Robotnicy zadawali kłopotliwe pytania, dyskusje i rozmowy stawały się coraz trudniejsze.

Kierownictwo zauważyło, że szybko traci posłuch i autorytet członków robotniczej „Solidarności”, bo zamiast zajmować się rozwiązywaniem problemów pracowników, jak to wynikało ze statutowych założeń, przywódcy tego związku coraz bardziej wnikali się w walkach politycznych. I charakterystyczne, że galwanizowanie swego prestiżu chcieli osiągać na drodze zastraszania walki politycznej z władzami państwowymi, a nie działaniem na rzecz ulżenia w życiu ludziom pracy. Organizowano więc coraz więcej publicznych awantur politycznych oraz nasilono agresywność propagandy antypaństwowej. Awanturami i hałaśliwością propagandy starano się stwarzać wrażenie, że „Solidarność” nadal jest potężna, jednolita w działaniu i wszystko mogąca.

Tymczasem rzeczywistość była już inna. Pojawiało się bowiem coraz więcej pozorów potęgi „Solidarności”. Pozory te tworzyli głównie etatowi funkcjonariusze tego związku, których liczebność osiągnęła aż 42 tysiące ludzi (a CRZZ dysponowała 13 tys. etatowych pracowników, co było uznane za przejaw biurokratyzmu i estro krytykowane). Funkcjonariusze etatowi szybko uniezależniali się, nawet wyobcowali ze swoich środowisk, bo koncentrowali się prawie wyłącznie na realizacji zadań pozastatutowych, czyli politycznych, narzucających przez ekstremistyczne siły kierownictwa „Solidarności”, w którym nadal zwiększały się wpływy KOR i KPN oraz przedstawicieli niektórych stowarzyszeń wyznaniowych. Te grupy rozłożyły się między sobą głównie taktiką działania. Jednoczyła ich jednak nienawiść do socjalistycznego państwa. A dla realizacji swych mafijnych interesów wykorzystywali sztyd robotniczej „Solidarności”.

Dostrzegali to realnie myślący szeregowi członkowie i działacze „Solidarności”. Ale ich opinie i dążenia do zajmowania się głównie problemami związkowymi, były negowane i tłumione. Dlatego sporo inicjatorów i organizatorów pierwszych ogniw „Solidarności” w zakładach pracy rezygnowało z działalności związkowej lub byli usuwani z zajmowanych funkcji.

Znamienne, że na pierwszym krajowym zjeździe „Solidarności” tylko w pojedynczych wypowiedziach zwracano uwagę na potrzebę zajmowania się sprawami związkowymi. Były zresztą lekceważone i nawet brutalnie tłumione. W czasie obrad niepodzielnie zapanował więc duch zdecydowanej walki z władzą państwa socjalistycznego. Najpełniej wyraz dało temu w 38 przyjętych uchwa-

lach i oświadczeniach, których większość ma wymowę wyrażenia antysocjalistycznej. Tworzą one rodzaj wielkiej instrukcji w sprawie co i jak robić w zakresie organizowania i prowadzenia walki z władzą ludową, co pogłębiało kryzys gospodarczy i oczywiście pogorszyło sytuację socjalną ludzi pracy.

TO WŁASNIE SPRAWIAŁO,

że nadal drogi członków robotniczej „Solidarności” rozchodziły się z awanturczą polityką jej kierownictwa. Rozwijał się indyferentyzm w dolnych ogniwach tego związku. Proces ten jednak nie mógł się silnie uzewnętrzniać, bo wprost proporcjonalnie do niego wzrastała agresywność propagandy „Solidarności” oraz rozszerzała się działalność bojówkarska także wewnątrz poszczególnych organizacji. Dzięki nim etatowi funkcjonariusze i ich doradcy, a więc faktycznie mała grupa inteligentów i awanturników politycznych, która przemawiała w imieniu ludzi pracy, nie pytając ich o zdanie, uzyskiwała możliwość szerokiego stosowania szantażu i terroru moralnego, a nawet fizycznego wobec członków, którzy uwierzyli w głoszone hasła demokratyczne i próbowali wypowiadać opinie ich nurtujące lub zachowywali się obojętnie wobec ogólnych nakazów. Intensywne zabiegi propagandowe i przedsięwzięcia organizacyjne etatowych funkcjonariuszy (czyli swego rodzaju „propaganda sukcesu” na opak) stwarzały wrażenie, że „Solidarność” jest jeszcze potężniejsza niż w początkowym okresie istnienia oraz może zmiażdżyć wszystko, co jej będzie stawało na drodze.

Psychoza ta obejmowała szeregów członków „Solidarności” i zmuszała ich do formalnego posłuszeństwa. Ulegały jej również znaczne kręgi środowisk twórczych i naukowych. Także politycy niektórych burżuazyjnych państw ulegał im psychozom z nastrojami społeczeństwa polskiego. Byli całkowicie pewni, że ewoluuje ono w kierunku restauracji burżuazyjnego ustroju w Polsce. Dlatego głośno przestrzegali, aby nikt z zewnątrz nie wtrącał się do rozwoju sytuacji w Polsce.

Całkowita pewność o wszystkim mogącej „Solidarności” w dniu 13 grudnia 1981 roku przekształciła się w swoje przeciwieństwo — w wielkie zaskoczenie, rozczarowanie i zdumienie. Kiedy zabrakło bowiem tylko słodkiej części etatowych funkcjonariuszy — przestała funkcjonować ogromna maszyna propagandowa, wspierana przez zagraniczne ośrodki antykomunistyczne, to okazało się, że „Solidarność” robotnicza ma inne oblicze niż je sobie wyobrażano na podstawie wytworzonej psychozy. Stąd zaskoczenie i zdumienie przede wszystkim u tych, którzy wytworzoną przez siebie psychozę utożsamiali z rzeczywistością. Z tego zdumienia nie mogą się otrząsnąć również ci, którzy ulegli tej wielkiej mistyfikacji, chociaż uważają siebie za ludzi rozsądnych i realistycznie myślących.

Spokój jaki zapanował w kraju po 13 grudnia i trwa do dziś potwierdza, że wiele mistyfikacji, czerpiący inspirację i środki z arsenału wojny psychologicznej, ponieśli porażkę. Nie oznacza to jednak, że już wszystko jest dobrze. Spośród 42 tys. etatowych funkcjonariuszy „Solidarności” pewna część nie rezygnuje z kontynuowania walki przeciw naszemu państwu socjalistycznemu. Mają bowiem nadal możność opiekunów w kraju i w państwach kapitalistycznych, którzy deklarują pomoc epigonom ekstremy „Solidarności”.

MARIAN NOWINSKI

Od red. Tekst podajemy za „Zol-niessem Włosem” nr 20/82

ZDARZENIA

PREMEDYTACJA

CZY SZALEŃSTWO

13 lutego, we wczesnych godzinach rannych, na stacji CPN w Lubinie, u zbiegu ulic: Skłodowskiej-Curie, Tysiąclecia i 1 Maja wykryto duży ładunek wybuchowy.

Pracownik tej stacji, Zbigniew Pruchnicki, podczas codziennego, porannego obchodu zauważył wcześniejszą pomiędzy beczką z olejem a ścianą budynku CPN torbę na zakupy wypełnioną ziemniakami. Początkowo sądził, że pozostawił ją tutaj jakiś mocno zapóźniony i mocno nieprzebieżny przechodzień. I w pierwszej chwili postanowił nie ruszać jej z miejsca, licząc na to, że być może ktoś zgłosi się po odbiór zguby. Później jednak zmienił zamiar. I wówczas zaintrygowano go ciche tykanie dobywające się z wnętrza. Wyjął ziemniaki i dokonał przerażającego odkrycia: torba zawierała ładunek wybuchowy wyposażony w detonator z mechanizmem czasowym. Jako były żołnierz nie stracił jednak zimnej krwi, rozłączył obwód elektryczny detonatora i unieszkodliwił ładunek. W kilkanaście minut później groźnym znaleziskiem zajęli się funkcjonariusze milicji.

Jak się okazało, bomba składała się z trzech kilogramów materiału wybuchowego stosowanego do robót strzelniczych w górnictwie, z trzech zapalników tego samego pochodzenia, źródła prądu i detonatora czasowego sporządzonego z budzika. Wybuch miał nastąpić między godz. 7.30 a 8 rano. I tylko przypadek zdarzył, że stało się inaczej.

Zdaniem ekspertów z wydziału kryminalistyki KR MO w Lubinie skutki wybuchu byłyby następujące: Bomba eksploduje, roznosi w strzępy budynek stacji CPN i wywala trzymetrowy lej. Ginie na miejscu obsługa stacji, kierowcy pięciu samochodów stojących w kolejce do tankowania i przypadkowi przechodnie. Wybuchają i płoną dystrybutory, ogień ogarnia zdejmowane detonacje samochody — strzelają w niebo gejzery płomieni. Ognista lawa wpływa do kanałów, gdzie znajdują się wloty podziemnych zbiorników paliwa: następuje straszliwa eksplozja 20 tysięcy litrów benzyny. Walą się ściany pobliskich budynków, w promieniu kilkuset metrów wpadają z okien szyby. Z nieba leje się strumień ognia, wybuchają pożary. W ogniętych żarem blokach wybuchają instalacje gazowe. Ludzie, którzy nie zginęli na miejscu — płoną żywcem. Gęsta zabudowa uniemożliwia skuteczną akcję ratowniczą...

W tym apokaliptycznym obrazie, który o mały włos stał się makabryczną rzeczywistością, traci na znaczeniu fakt, że kilkanaście metrów od stacji znajduje się szkoła, a nieco dalej przedszkole i szpital... Na szczęście zamiar zbrodniarza — szaleńca został unicestwiony.

Intensywne śledztwo prowadzi prokuratura wojskowa. Do tematu wrócimy.

A swoją drogą zdumiewa kompletna beztroška w pozostawianiu stacji CPN bez jakiegokolwiek opieki i nadzoru na wiele godzin. Co by się stało, gdyby mechanizm bomby nastawiono nie na godziny ranne, a nocne?

Psychologicznie rzecz biorąc reakcja na jakikolwiek bodziec jest zjawiskiem całkowicie naturalnym i zrozumiałym. Opierając się na tej prostej prawdzie można powiedzieć również słowami zaczerpniętymi z podręcznika psychologii, że każda akcja wywołuje reakcję.

NIE CHCEMY ODWETU

Zachowania i postawy ludzkie szczególnie wyraźnie objawiają się w sferze działań politycznych. To tam właśnie, jak nigdzie, walka interesów, często także barzo antagonizujących, powoduje, że działania ludzi charakteryzują się brakiem umiaru, chybionej analizy i realizmu. Odnosi się to zwłaszcza do sytuacji, gdy fałszywie pojmujemy się demokrację sprawującą ją do anarchii, co w konsekwencji nie świadczy o niczym innym, jak tylko o niskim poziomie kultury politycznej społeczeństwa.

Od kilkunastu miesięcy zachwycaliśmy się naszym nieopierzonym polskim eksperymentem. Co trzeźwiejsi wcześniej spostrzegali, czym pachnie wynaturzona odnowa, do czego może doprowadzić — zwłaszcza u nas — zasypywanie kraju ulotkami z wymalowanymi zubienicami, ordynarne hasła propagandowe mieszące z biotem każdego, kto odważy się mieć własne przekonania. Doszło nawet do tego, że gdzieś tam zaczęto gromadzić i kosy osadzone sztorcem... Tylko że trudniej byłoby odpowiedzieć przeciw komu i właściwie dlaczego? Zaiste, wszystko to świadczy o niebywałym wręcz braku politycznego obycia sporej części społeczeństwa. Naturalnie, zaciętrzewiony adwersarz mógłby zapytać, czy wprowadzenie stanu wojennego mieści się w ramach kultury politycznej. Cóż, odpowiedź jest bajecznie prosta — jest to zjawisko przewidziane konstytucyjnie. A poza tym — co zdaje się mocniej przemawiać do wielu rodaków — spora grupa przywódców krajów świata ze zrozumieniem (i troską — także o własny interes) odniosła się do faktu sięgnięcia po ten niewątpliwie przykry środek.

Niekiedy trudno oprzeć się wrażeniu, że duża liczba Polaków zachowuje się jak dzieci. Jakże łatwo padają słowa o wspólnym stole, o dogadaniu się jak Polak z Polakiem. Podczas, gdy na całym świecie (tym najbardziej cywilizowanym) jest rzeczą naturalną, że gdy dwóch facetów siada przy okrągłym stole to nie po to, by głaskać się po rączkach i prawić sobie komplementy. Jeśli idzie o wygranie jakiegokolwiek interesu politycznego, to aby obie strony mogły do rozgrywki przystąpić, nie może im być obce pojęcie kompromisu.

U nas, niestety, było inaczej. Atak frontalny obliczony na zaszczucie, wyniszczenie psychiczne, wytrącenie argumentów za pomocą pomówień, oszczerstw, kalumni. To ogólnie przyjęta metoda działań politycznych sprzed 13 grudnia z upodobaniem była stosowana przez wojujących antykomunistów z „Solidarności”. Jeśli tak ma wyglądać wymarzony model demokracji, kiedy człowiek boi się wyjść na ulicę i do pracy, bo może spotkać się z propozycją zjedzenia własnej legitymacji partyjnej, to rzeczywiście lepiej pakować manatki. Powie ktoś: Walka to walka, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! To prawda — i o tym możemy przekonać się również i dzisiaj, choć każdy przyzna, że ta kultura polityczna, jaką prezentują polskie władze wojskowe ma się tak, jak nieba do ziemi w porównaniu z tym, co widzieliśmy na obrazkach np. z Turcji, gdzie przywraca się demokrację (słowa sekretarza stanu USA Haiga) za pomocą... rozstrzeliwań i masowych procesów politycznych. Jak widać, wiele można zawrzeć w tym samym słowie.

Po tych luźnych dywagacjach spróbujmy zająć się sednem rzeczy. Nie bez przyczyny na wstępie tych rozważań zamieszczono kilka słów nawiązujących do psychologii. Przydadzą się one bardzo, gdy pokusimy się o nazwanie tego co obecnie, w jakże zmiennej ostatnio sytuacji politycznej w niektórych z nas siedzi. Z tego wszystkiego, co powyżej powiedziano, wynika jasno, że nasza polska rodzina przeżywa z konieczności ciche dni. Jedną gryzą się utraconą szansą wyolimpiowania na karkach innych. Drugą od-

wrócili się od polityki — walczą z chudym budżetem, a jeszcze inni poculi swą szansę. Pomówmy przez chwilę o nich.

Zjawiskiem politycznym, jakie niewątpliwie dominuje obecnie, to wzrost aktywności społecznej i politycznej członków partii. Partia przeżywa swój renesans, co zresztą trwa od IX Nadzwyczajnego Zjazdu, ale dziś przebiega on w zupełnie zmienianych warunkach. Proces odnowy partii zapoczątkowany praktycznie wraz z Sierpniem 1980 roku spowodował wielkie zmiany w lielibności partii, jej — co tu dużo ukrywać — politycznym obliczu. Okazało się, że partia marksistowska może zasadzać się na różnorodności spojrzeń na wiele problemów życia społecznego i politycznego, że tarcia światopoglądowe (jak wskazywał Lenin) przy jednoczesnej wierności założeniom marksizmu sprzyjają twórcemu rozwojowi partii, chronią ją przed skostnieniem i popadaniem w dogmatyzm. Zmieniło się wiele w sposobie myślenia członków partii, w formach ich udziału w życiu wewnątrzpartyjnym. Wszystko to z pewnością jest rezultatem ożywczych powiewów odnowy, co jednocześnie nie zmienia faktu, że partia jest osłabiona i dużo czasu upłynie zanim — w co wierzę — odzyska powszechny autorytet.

W obliczu stanu wojennego na Polskę Zjednoczoną Partię Robotniczą spada szczególnej wagi obowiązek. Można go w skrócie określić, jaką troskę o niezaprzaczenie tych wartości odnowy, które służą szeroko pojętemu interesowi społecznemu. Idzie tu w pierwszym rzędzie o wprowadzenie reformy gospodarczej, porządkowanie rynku, likwidowanie nieprawidłowości w funkcjonowaniu społeczeństwa. Jawi się tu zasadnicze pytanie — tym bardziej, że wcześniej stwierdziłem, iż partia jest osłabiona — czy partia jest na tyle silna?

Nie będzie chyba błędem wyrażenie przekonania, że zostali w niej ci, którzy zostać powinni. Od tych członków partii, którzy rzeczywiście poczuwają się do obowiązku służby narodowi, będzie zależeć, czy możliwy będzie powrót do przedsierniowych praktyk sprawowania władzy, do szafowania społecznym mieniem. Od nich zależeć będzie, czy obecny trudny czas nie stanie się okazją odwetu, odgrywki na tych, którzy napsuli krwi wielu z nas. Czy czas stanu wojennego nie stanie się czasem zemsty, reakcji na to co działo się przed 13 grudnia. I choć wyrzeczenie się zemsty przeczy oczywiście, suchym prawom psychologii, to jednak jest odczuciem głęboko ludzkim i właśnie dlatego nie powinno być obce żadnemu komunistom.

Problem moralności, etyki postępowania wobec innych zbyt często do tej pory umykał z pola widzenia. Nie mówiono o tym wtedy, gdy ważyły się losy kraju i jego obywateli. Owszem, słowa sypały się gęsto, ale pod nimi kryła się pustka i nie poza polityczną grą. Teraz jest czas, by zająć się tym co w każdym z nas siedzi. Jeśli już mamy rozmawiać, to niech każdy usiądzie do stołu z czystymi rękoma i... zamiarami.

Rośnie aktywność społeczna i polityczna członków partii. Dobrze byłoby, aby oprócz dyskusji o cenach i reformie na zebraniach partyjnych mówiło się także i o tych wszystkich poruszonych wyżej problemach.

JACEK BROSZKIEWICZ

A PROPOS

DO ŁASK

PRZYWRÓĆMY... HYC!A!?!?

Coraz więcej osób (w różnym wieku) narażonych jest na pogryzienie przez psy. Sam przed kilkoma dniami zostałem przez jednego z tych waleśających się najwilejszych przyjaciół człowieka dość boleśnie ucapnięty za tyłek. Sporo czasu zajęło mi też odświeżanie właściciela owej „kąśliwej bestii”. W trakcie rozmowy zupełnie nie przypominającej wersalskiej przyznał, że po prostu wyrzucił psa bo „czym mam karmić bydlaka”. Oczywiście, człowiek, który lubi zwierzęta i pies jest mu potrzebny (nie tylko do zaspokojenia chwilowej zachcianki) nigdy by tak nie postąpił. Mam psa i co nie-co mogę na ten temat powiedzieć.

Coraz częściej na ulicy, w parku czy innym miejscu publicznym nagle i niespodziewanie bywamy otoczeni przez watahę psów różnych ras, alści z widoczną przewagą kundli. Pół biedy, jeśli nas tylko obszczekają (nie jest to wszak tak niebezpieczne, co denerwujące). Do tego bowiem jesteśmy raczej przyzwyczajeni. Od pewnego czasu przecież z niebywałą zajadłością nas obszczekują. Celują w tym zwłaszcza, niektórzy więksi i mniejsi mężowie stanu, bardziej i mniej wybitni dyplomaci. Starają się im usłużyć wtórować różnego autoramentu renegaci. Z tym, że szczekanie tych ostatnich często przypomina żalosne skamlenie. Podzielać więc w pełni uczucia tych rodaków, którzy są zadowoleni, że tak dokładnie zaplanowane, tak szczegółowo przygotowywane obszczekiwanie nas w Madrycie po prostu się nie udało.

Wróćmy jednak na nasze legnickie podwórko. Schronisko dla bezdomnych psów jest na pewno bardzo potrzebne, ale posiada ono — z różnych przyczyn — ograniczony zakres działania. Jeden z przykładów. Kilko podsekretowanych dzieci przybiegło oznajmiając, iż niedaleko leży od dłuższego czasu duży pies, najwidoczniej chory. Poszliśmy, gremialnie, zadzwoniliśmy do schroniska. Otrzymałmy uprzejmą odpowiedź, że owszem zaopiekują się psem, ale „proszę go do nas przywieźć”. Ba! Ze społecznego punktu widzenia wskazane byłoby — jak drzewiej — zatrudnienie — nawet jako magistrackiego funkcjonariusza — osobnika (najlepiej płci męskiej), który zająłby się uwalnianiem nas od chorych, zdziczałych, zabiedzonych bezpańskich psów. Gdybym tak szczerze miał osądzić, która z tych instytucji: schronisko czy hycel jest bardziej humanitarna — mam tu ciągle na uwadze dobro tych zwierząt — naprawdę trudno by mi było o jednoznaczna wypowiedź. Najlepiej gdyby funkcjonowały obie.

Ponieważ coraz mniej ludzi respektuje dziś słowa sympatycznej piosenki: „Do serca przytul psa”, dopominam się niniejszym o przywrócenie do łask... hycia, uczenie raka-rzem zwanego.

BRONISŁAW FREIDENBERG



— Czy ma pan jakiś środek przeciw piegom?

— Stan wojenny w istocie wiele pomógł organizacji. Przede wszystkim zniknęły anarchizujące formy walki politycznej. Głoszonym zewsząd poglądom ulegali także młodzi. Demagogia, którą posługiwali się i posługują nadal przeciwnicy ustroju była chwytliwa. W takiej sytuacji nasza praca ideowo-wychowawcza i polityczna napotykała opór i krytykę. Młodzi występowali ze związku. Nie mieliśmy na to większego wpływu. Nasi wrogowie robili wszystko, aby przeszkodzić w dotarciu do ludzi z uchwałą, statutem i Deklaracją Programową przyjętymi na III Zjeździe ZSMP. Podsuwano młodzieży tony bibuły z „rewelacyjnymi” programami, wyssanymi z palca informacjami i panegiriami. Pierwsze tygodnie stanu wojennego pokazały jednak, że organizacja wcale się nie załamała. Przeciwnie. W nadzwyczajnych warunkach znaleźliśmy wiele skutecznych metod realizacji programu ZSMP. Ktoś postawić może w tym miejscu słusne pytanie: co dalej, po okresie stanu wojennego? Kwestie te stawiane są na prawie każdym zebraniu. Zdajemy sobie sprawę, iż spory polityczne nie ustają, ale mamy nadzieję, że będą się one toczyć w granicach właściwej pojętej demokracji i z pełną kulturą polityczną. Młodzież w dalszym ciągu stoi przed moralnymi dylematami, politycznymi rozterkami. Przyszłość związku widzę w umiejętności dostarczania argumentów, pomagać du młodym w znalezieniu swego miejsca w życiu społeczeństwa i pełnego w nim udziału.

Muszę jednak zaznaczyć, iż po to, by móc ukazywać perspektywy rozwoju młodemu człowiekowi, musimy dysponować nie tylko dobrymi chęciami, lecz także konkretnym i wymiernym dorobkiem. Dorobek ten składać się musi z rzeczywistych dokonań, bo tylko te mogą przyciągnąć do nas młodzież.

● W instancjach i ogniach toczy się szeroka debata pod hasłem „Jaka Polska — jaki związek?”. Brak tego typu ogólnozwiązkowych dyskusji był jedną z podstawowych przyczyn osłabiających ZSMP od dłuższego czasu. Czy nie obawiasz się jednak, że może się ona przerodzić w kolejne nic nie dające roztrząsanie żalów i pretensji?

— Tezy do dyskusji są niewątpliwie konkretne, ponieważ opierają się na analizie aktualnej sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej, a także płynących z niej możliwości. Nie postawimy zatem przed sobą zadań niewykonalnych. Skupimy się na tym, co możemy zrobić własnymi rękoma.

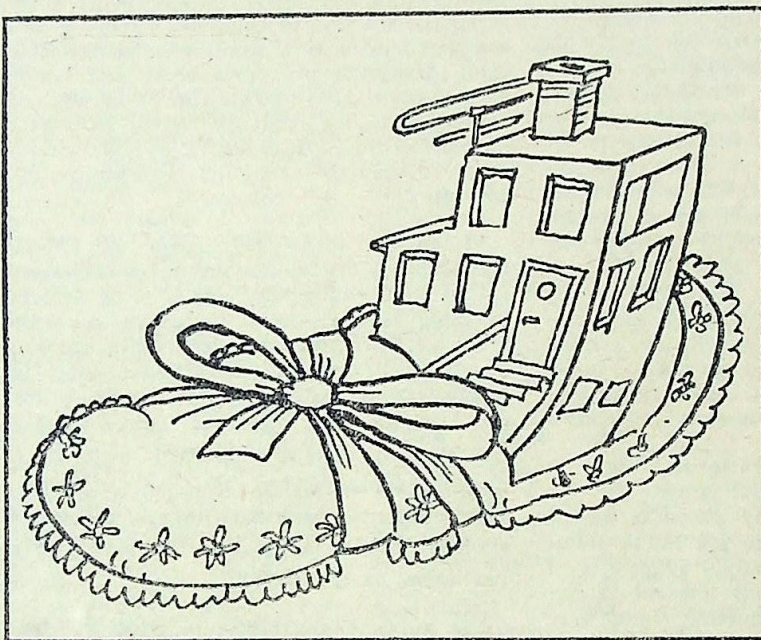
● Skoro mówisz o konkretnych, warto byłoby chyba przytoczyć kilka z nich...

— Próbuując odpowiedzieć na pytanie „Jaka Polska”, dochodzimy do wniosku, że w naszym kraju nie ma powrotu do anarchii, ale także do metod sprawowania władzy przed Sierpniem '80. Zaś naczelnym problemem, jaki obecnie stoi przed wszystkimi Polakami, to usilna praca nad tym, by wykształcić takie mechanizmy życia publicznego, które zagwarantują demokrację, sprawiedliwość i równość społeczną, poszanowanie praw. W tych procesach nasz związek ma prawo i obowiązek uczestniczyć. Zdajemy sobie jednocześnie sprawę z tego, iż wszystkie obrane cele — o których mówię — będą możliwe do spełnienia tylko wówczas, gdy uporządkujemy gospodarkę narodową i wprowadzimy reformę. I to jest drugi, nie mniej ważny, obowiązek naszych działań.

Od momentu wprowadzenia stanu wojennego ZSMP jakby się odrodził. Jest organizacją bardziej ofensywną w sensie programowym. Można jednak otwarcie powiedzieć, że nawet III Nadzwyczajny Zjazd nie zahamował postępującego rozklejania się związku. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, iż tak przed Sierpniem, jak i po, zbyt małe było oddziaływanie ideowo-wychowawcze organizacji, bardzo słabo przedstawiał się również związek od strony politycznej. Młode pokolenie zawiodło się na ZSMP także wskutek niemożności spełnienia przezeń materialnych aspiracji...

Z MARKIEM ZIELIŃSKIM — przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Legnicy rozmawia Czesław Pańczuk.

ZNALEŹĆ SWOJE MIEJSCE



struktywnie uczestniczyć w tych przemianach niezbędne są zmiany w pracy samego związku...

— Chcemy w pełni czuć się reprezentantem społeczno-politycznych i ekonomicznych interesów młodego pokolenia. Jesteśmy gotowi przyjąć na siebie odpowiedzialność za edukację młodego człowieka. Chcemy mieć wpływ na politykę kształcenia, czuć nad jej realizacją w szkołach i uczelniach. W tych do dyskusji podkreśla się potrzebę samodzielności związku jako warunku skutecznego działania, potrzebę niezależności od administracji państwowej i gospodarczej. Natomiast swoje polityczne miejsce znaleźć chcemy u boku partii, na zasadach sojuszu. Chcielibyśmy, aby partia szanowała naszą samodzielność, abyśmy byli dla niej partnerem mającym prawo do własnego zdania, prawo nie tylko do niepodważalnych racji, ale i błędów powodowanych młodością. Partia jest i pozostanie gwarantem socjalistycznej odnowy. I my jako związek będziemy jej w tym pomagać.

BLIŻEJ ŻYCIA

● Trudnym zagadnieniem w pracy związku jest wciąż rosnąca kolejka tych, którzy przychodzą do nas z kredytami dla młodych małżeństw i którzy w ZSMP widzą jedyną drogę do

dzięki staraniom związku, górną granicę kredytu podniesiono do 150 tys. zł, to jednak umiabilanie jednego pokoju kosztuje grubo ponad 100 tysięcy...

— Podstawowy problem z kredytami MM leży gdzie indziej. W braku masy towarowej do podziału. No bo skoro nie ma co dzielić to po co udziela się tytułu pożyczek. W ZW mamy zarejestrowane 3,5 tysiąca nie zrealizowanych kredytów na sumę 30 milionów złotych. Dostaliśmy na początku lutego trochę towaru: 500 telewizorów czarno-białych, 200 radiododbiorników, 100 radiomagnetofonów, 300 dywanów, 65 kompletów mebli. Jak dzielić? Komu dać najpierw? Oprócz konieczności zwiększenia ilości artykułów dla młodych małżeństw należy pilnie określić listę towarów, jakie objęte byłyby kredytami. Jest koncepcja, aby ustanowić dwie grupy artykułów. Do pierwszej weszłyby towary proste, tańsze, powszechnego użytku, a do drugiej te trudniej dostępne i droższe. Priorytet w dostawach na rynek miałaby oczywiście pierwsza grupa. Po wprowadzeniu nowych cen takie ustawienie sprawy, na które czekają młode małżeństwa wydaje się być niezłym rozwiązaniem. Musimy wreszcie skończyć z traktowaniem kredytów MM w kategoriach ekonomicznych i fiskalnych, lecz przede wszystkim

socjalnej, pomocy młodej rodzinie.

● Są jednak województwa, np. katowickie, gdzie telewizor kolorowy, lodówkę czy pralkę kupić można od ręki. W Legnickim wydłuża się kolejka po towary nawet tych, którzy dostali przydziały ZSMP. Czy w roku bieżącym będzie więcej towarów?

— Wszystko zależy od dostaw z przemysłu, ale też od tego, ile z ogólnej masy dostaną do podziału kredytobiorcy. W handlu mamy przecież do czynienia z tzw. sprzedażą wiążaną dla rolników. Władze wojewódzkie nie obiecują wiele. I myślę, że w roku 1982 nie uda nam się zrealizować zaległych kredytów, nie mówiąc już o nowych, które dojdą wkrótce. Problem ten muszą rozwiązać definitywnie władze administracyjne. Nasza organizacja nie może być w tym przypadku kozłem ofiarnym, przejmującym cały ciężar problemów.

● Przed paru laty organizacja zajęła się budownictwem państwowym. Z wielu przyczyn, m.in. niedogadania się ze spółdzielczością i przedsiębiorstwami budowlanymi ideę zaprzeczono. Mimo krytyki tej formy, stanowiła ona dla młodych rodzin jakąś nadzieję na szybsze otrzymanie mieszkania. Czy w sprawach mieszkaniowych ZSMP ma coś nowego do zaproponowania?

— Myślmy poważnie o młodzieżowych spółdzielniach mieszkaniowych. Potrzeba nam tylko przychylności władz w organizacji bazy wytwórczej dla budownictwa jednorodzinnego, oraz pomocy państwa w kredytowaniu. Myślę tu o starych ceglaniach, które stoją bezużytecznie i nie wykorzystanych prostych surowcach i materiałach. Chcemy bowiem budować sami dla siebie. Od cegły począwszy, a na drogach dojazdowych do osiedli skończywszy. Sama idea takiej formy budownictwa, skrócenia drogi do własnego M wymaga jeszcze kilkakrotnego przepracowania, tak, abyśmy się potem nie wyłożyli, jak na państwie.

Pamiętać należy, że samo to jednak nie przyjdzie. Bez wkładu własnej pracy młodych idee zostaną tylko na papierze.

● Przez całą prasę przetacza się ogromna dyskusja na temat miejsca związku. Jak sądzisz, czy jest on organizacją polityczną, czy przybiera być może oblicze związku zawodowego?

— Nie możemy stawiać sztucznych barykad, a zawsze szybko reagować na to co przynosi życie. Nie można być dogmatykiem ideowym i na tej płaszczyźnie budować wizji organizacji, jak próbują to robić niektórzy inne związki młodzieżowe, nie można też poraść w dogmaty typowej socjaldemokracji, bo jest to niezgodne z deklaracją ideową naszego związku. Szybkie reagowanie na potrzeby młodzieży, rzetelna i konstruktywna ocena własnych poczynąń oraz prawidłowa reprezentacja interesów młodego pokolenia, to w tej chwili konieczność i jedyna szansa wiarygodności organizacji.

Był jest nierozzerwalnie związany ze świadomością i z tego wszyscy musimy zdawać sobie sprawę. Nasze młode pokolenie ma przed sobą wiele nie rozwiązanych problemów i o to musimy walczyć wszyscy, nie zapominając przy tym o obliczu związku, o czym mówiłem na wstępie.

Spotkałam kiedyś znajomą urzędniczkę. Na pytanie „co słychać?”, odpowiedziała, że pracuje obecnie na trzech etatach. Wykonuje swoją robotę i jeszcze za dwie nieobecne koleżanki. — Jak pani sobie radzi? — Doskonale, zostaje mi nawet dość czasu, by zjeść śniadanie, a czasem nawet zdążyć poplotkować z koleżanką z sąsiedniego pokoju. Wie pani, że nadal mogłabym tak pracować, gdyby mi więcej płacili — żartowała. — Było to bowiem cztery lata temu.

POCZĄTEK DROGI

Mimo że kończy się już drugi miesiąc wchodzenia zakładów pracy w reformę gospodarczą, na rynku pracy niewiele się dzieje. Nie ma masowych przemieszczeń, o redukcjach jakos nie słychać, tłumy chętnych nie garną się do usług, rolnictwa czy rzemiosła — najbardziej zaniedbanych dziedzin naszej gospodarki. Wszystko wskazuje na to, że reforma do zakładów pracy wkraczać będzie bez większych wstrząsów, a zmiany w sferze zatrudnienia nie będą miały rewolucyjnego przebiegu. A więc prognozy sprzed kilku miesięcy o wystąpieniu w Polsce bezrobocia w masowej skali, nie sprawdziły się. Można wskazać na dwie główne przyczyny tego stanu rzeczy. Po pierwsze — nadal dominują stare przyzwyczajenia, mimo ewidentnych przerosłów zatrudnienia kierowniczy zakładów pracy niechętnie pozbywają się pracowników, głównie z obawy przed trudnościami, które zawsze towarzyszyły kompletowaniu załóg. Po drugie — z czysto humanitarnych względów.

Zbędnego pracownika nie można wyrzucić na bruk jak zużytą maszynę. Trzeba stworzyć cały system zabezpieczeń społecznych tak, aby nikt kto został zmuszony do zmiany pracy, nie znalazł się bez środków do życia. Z pewnością trudne do pokonania będą bariery natury psychologicznej zwłaszcza dla tych, którzy, związani z danym zawodem przez wiele lat, będą musieli podjąć trudną decyzję zmiany zakładu pracy lub nawet przekwalifikowania się.

Polityka zatrudnienia nie może być puszczona na żywioł. Dlatego intencją rządu jest w miarę łagodne przeprowadzenie trudnej operacji racjonalnego zatrudnienia w całej gospodarce. Przede wszystkim stworzono szereg możliwości dobrowolnego, czasowego odejścia od zawodu, szczególnie dla kobiet, na zasadzie płatnych urlopów wychowawczych, a dla tych, którzy spełniają niezbędne warunki, szanse wcześniejszego przejścia na emeryturę.

Przyjrzyjmy się, jak przebiega zmiana polityki kadrowej w kontekście reformy gospodarczej w Dolnośląskiej Fabryce Instrumentów Lutniczych w Lubinie. Do tej pory zakład zatrudniał zwykle około 800 pracowników. Nowe warunki gospodarowania skłoniły do innego spojrzenia na zatrudnienie. Obliczono że tę samą produkcję można wykonać przy 700-osobowej obsadzie. Dzięki zbiegowi okoliczności kierownictwo nie musiało uciekać się do tak drastycznych metod, jak redukcja. Trzon załogi „Defilu” fabryki o najstarszym powojennym życiorysie (w porównaniu z innymi w województwie), osiągnął już wiek emerytalny, bądź kwalifikuje się na wcześniejszą emeryturę.

W ciągu ubiegłego roku na renty i emerytury odeszło już 116 osób. W sumie chętnych było znacznie więcej. Wyłonił się

jednak istotny problem — warunki spełnienia fachowcy o najdłuższym stażu zawodowym, których tak od razu nie można zastąpić nowymi. Masowe „wykruszenie” się starych pracowników groziło nawet w pewnych momentach zachwianiem rytmu produkcji. Dochodziło bowiem do tego, że na niektórych stanowiskach nawet dwie nowe pracownice nie były w stanie podjąć obowiązkom wykonywanym poprzednio przez jedną. Specyfika produkcji na zakład wymaga dłuższego przysposobiania na niektóre stanowiska produkcyjne. W tym celu część doświadczonych pracowników udało się jeszcze zatrzymać na kilka miesięcy, aby pod ich okiem zgłębiali tajniki warsztatu przyszli lutnicy czy korektorzy mechanizmów pianinowych. O tych specjalistów najtrudniej. Dobrym lutnikiem nie zostaje się od razu. Mówią, że potrzeba co najmniej trzyletniej praktyki.

Przeprowadzony przegląd kadr ujawnił również wiele możliwości zasilenia produkcji pracowników ze służb pomocniczych i w kilku przypadkach umysłowych. Nawet sama załoga po zapoznaniu się z oddziałowymi funduszami plac dochodzi do wniosku, że tę samą pracę w wielu przypadkach można wykonać w mniejszych zespołach z korzyścią dla własnych zarobków. Dyrektor d/s ekonomicznych Stanisław Sadowski przyznaje, że rezerwy oszczędności w sferze zatrudnienia są. Dlatego za stały element polityki kadrowej przyjęto tendencję do ograniczenia zatrudnienia i jednocześnie — poprzez analizę wykorzystania czasu pracy — komasowanie niektórych stanowisk.

Podobnie jak „Defilu” inne zakłady również problem przerosłów zatrudnienia, schedy po okresie ekstensywnej gospodarki na ogół są rarytatem. Ale w niektórych przypadkach i te mniej popularne posunięcia, jak redukcje okazują się niezbędne. Niedostatki materiałowe i surowcowe są np. powodem spadku zapotrzebowania na zawody budowlane. Do wydziału zatrudnienia w Lubinie trafiło już kilkanaście osób z Zielonogórskiej Centrali Materiałów Budowlanych, z Lubinśkiego Przedsiębiorstwa Budowlanego i z Fabryki Domów.

Zwolnienia z powodu redukcji etatów, jak do tej pory, nie przybrały masowego charakteru, a zagospodarowanie tej siły roboczej, mimo pewnych trudności, jest jeszcze realne. Zresztą na ogół, na brak ofert poszukujący nie mogą narzekać. Tylko w samym styczniu Urząd Miejski w Lubinie dysponował 450 ofertami dla mężczyzn i 132 dla kobiet. Z tych propozycji pracy skorzystało 305 mężczyzn i 87 kobiet. Natomiast 150 osób nie zadowolilo się żadnym z proponowanych miejsc pracy. Najdłużej na skierowanie oczekują

mężczyźni o niskich kwalifikacjach, bądź ci, którzy nie posiadają ich wcale i legitymują się tylko podstawowym wykształceniem. Obecnie w grupie poszukujących pracy dominują kierowcy. Im najtrudniej o znalezienie miejsca, a nie mając innego zawodu, rzadko decydują się na pracę zastępczą, które nie wymagają przygotowania zawodowego. Z drugiej strony biuro pośrednictwa pracy zalega oferty na specjalności, które są już dziś rzadkością jak ciekarz, blacharz, kowal. Potrzebni są szewcy i zegarmistrzowie. Pewne próby przyuczenia do zawodu podejmuje Spółdzielnia Usług Wielobranżowych. Efekty jednak nie są na miarę potrzeb. Dlatego nadal na naprawę zegarka czeka się w najlepszym razie miesiąc, a oddanie butów do naprawy w sezonie jesienno-zimowym graniczy niemal ze szczęściem.

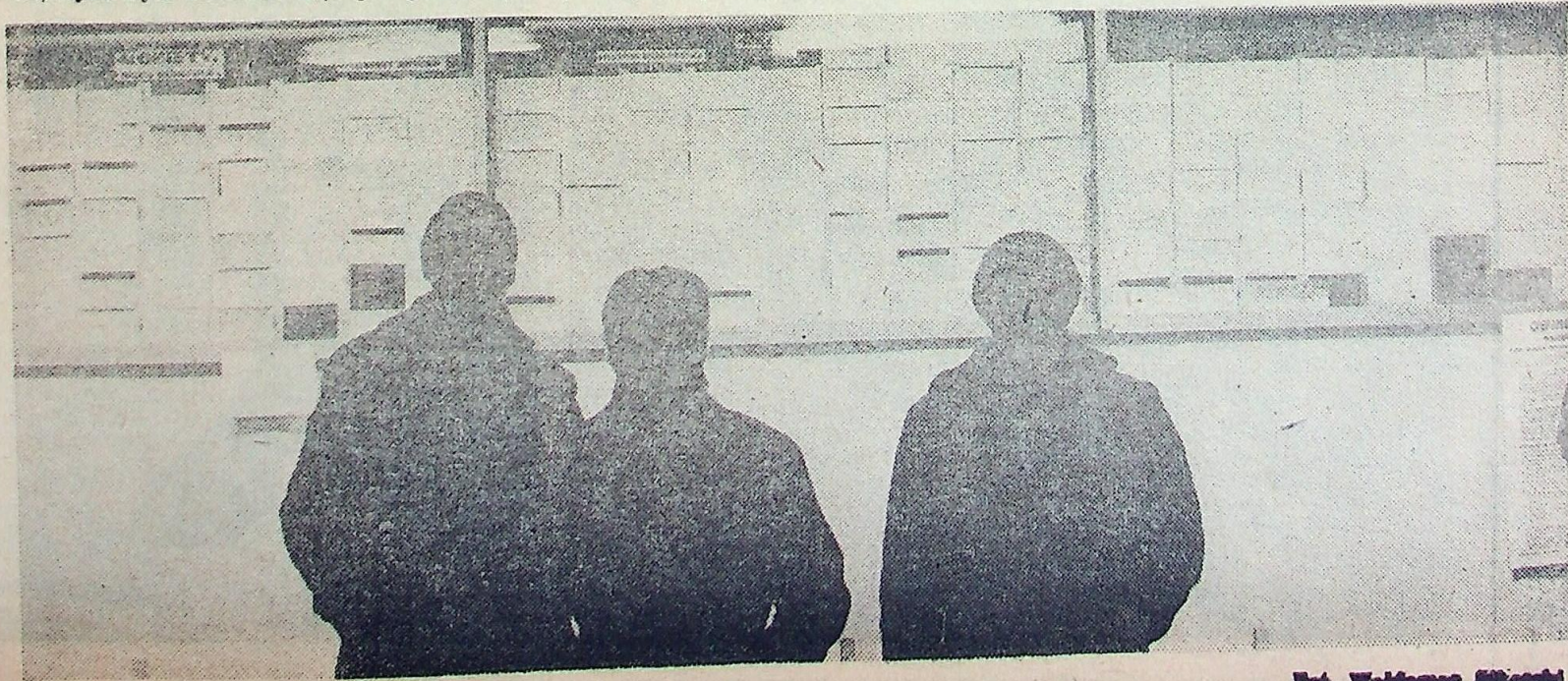
O wiele trudniejsza jest sytuacja z zapewnieniem pracy dla kobiet. Większość z nich poszukuje stanowisk nierobotniczych. Rzecz ciekawa, że są wśród nich krawcowe, dziewiarki, fryzjerki, ekonomistki i absolwentki Liceum Technicznego. Brak w Lubinie przemysłu zatrudniającego kobiety powoduje konieczność zapewnienia im pracy nawet poza granicami kraju, głównie w Czechosłowacji. Ale ze zrozumiałych względów wyjeżdżają tam neliczne. Problem zatrudnienia kobiet wyglądałby zgoła inaczej, gdyby w Lubinie w dostatecznym stopniu rozwinięta była sieć placówek handlowo-usługowych i rzemieślniczych stosownie do potrzeb mieszkańców miasta.

Mimo że sytuacja na rynku pracy, w związku z wdrażaniem reformy gospodarczej, nie pogorszyła się w odczuwalny sposób, trzeba liczyć się z tym, że jesteśmy dopiero w początkowym stadium nieuchronnych zmian w naszej gospodarce. Przewidywać należy, że po pierwszym okresie wyczekiwania i niepewności, zakłady pracy zmuszone reżimem ekonomicznym coraz częściej będą szukać oszczędności w racjonalnej polityce kadrowej. I wtedy pojawi się problem przemieszczenia siły roboczej.

Z myślą o ułatwieniu podjęcia decyzji o zmianie zatrudnienia utworzono na mocy Uchwały nr 169 Rady Ministrów Fundusz Aktywizacji Zawodowej. Stanowi on zachętę do podejmowania pracy w działach słabych kadrowo, jak rolnictwo, usługi i rzemiosło. Również w oparciu o środki FAZ można będzie organizować m. in. roboty interwencyjne, finansować koszty przygotowania zawodowego osób czasowo pozostających bez pracy lub ją zmieniających, pomóc w organizowaniu nowych miejsc zatrudnienia.

Istnieje również już dziś pilna potrzeba organizowania aktywnego pośrednictwa pracy w terenowych służbach zatrudnienia; szerokiej informacji, poradnictwa zawodowego i wypracowania systemu przekwalifikowania kadr. Wszystkie te działania powinny tworzyć osłonę społeczną i zagwarantować poczucie bezpieczeństwa tym, którzy staną wobec nowych decyzji życiowych.

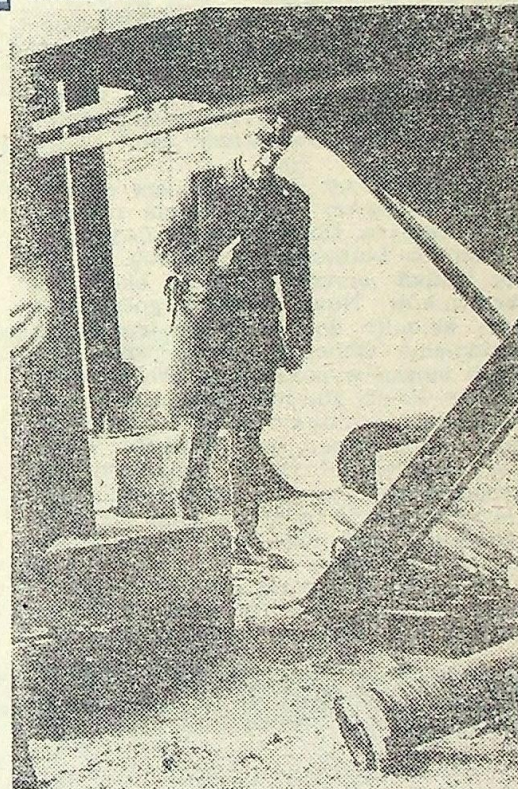
MARIA KUNCAITIS





12 lutego 1982 r. Dzień jak co dzień. Ani lepszy, ani gorszy od innych. Już od godziny 8 rano komisarz miasta Legnicy major Józef Świst przyjmuje czekających tłumnie interesantów. Większość z nich przychodzi ze swoimi kłopotami mieszkaniowymi. Jedni oczekują pomocy w przydziale lub zamianie mieszkania, inni w przyspieszeniu wielomiesięcznego oczekiwania na remont. Ale są też i inne sprawy i kłopoty.

O godzinie 9 wyruszamy z Miejską Grupą Operacyjną w teren. Mjr mgr Marek Grzelec, ppor. inż. Zbigniew Stabryło i kpr. Wojciech Konieczny kontrolować dziś będą jeden z ponad 200 zakładów Legnicy — Rejon Dróg Publicznych. Zabieramy ze sobą dyrektora Aleksandra Nowaka i jedziemy do Kunie. Mieści się tutaj Zakład Produkcji Pomoćniczej wytwarzający masę bitumiczną do pokrywania nawierzchni dróg. Zakład należy do najlepszych na Dolnym Śląsku. Początkowo pomyślany jako skromna baza, produkuje dzisiaj 25 ton masy na dobę. Nieustannie modernizowany został wyposażony w wiele dodatkowych urządzeń. Aby nie marnować masy, zainstalowano potężne podgrzewane silosy, przystosowano urządzenia do zasilania olejem opalowym zamiast napędowym (ok. 75 proc. taniej po starych cenach), zmniejszono koszty transportu kruszywa, uruchamiając węzeł uszlachetniania pospółki miejscowego pochodzenia. Od jesieni ubiegłego roku trwa także montaż wytwórni mas bitumicznych o zdolności produkcyjnej 30 ton na dobę, która będzie posiadała II stopień odpylenia, a więc będzie nieszkodliwa dla środowiska. Prace przy montażu wytwórni przerwały mrozy i opady śniegu. Stąd więc chyba tyle uwag zadowolili sobie wizytatorzy z grupy operacyj-



nej. Ole tr
kołu:

● benad
i części za
WMB-25

● składow
nika na pae

● rozciąg
dzonych rol

4 x 120 —

— ok. 30 m,

● porzra
tryczne w st

● brak ka
kompletu i

cji paliw,

● niebal
siekowe —

szt. i dwa pl

● zaspa
koło węd

oświadczeni

● niebal
silanie rozd

stacji transfe

Uzbiernio

natychmi st

wania tech

bm., najalsz

tamy tam z

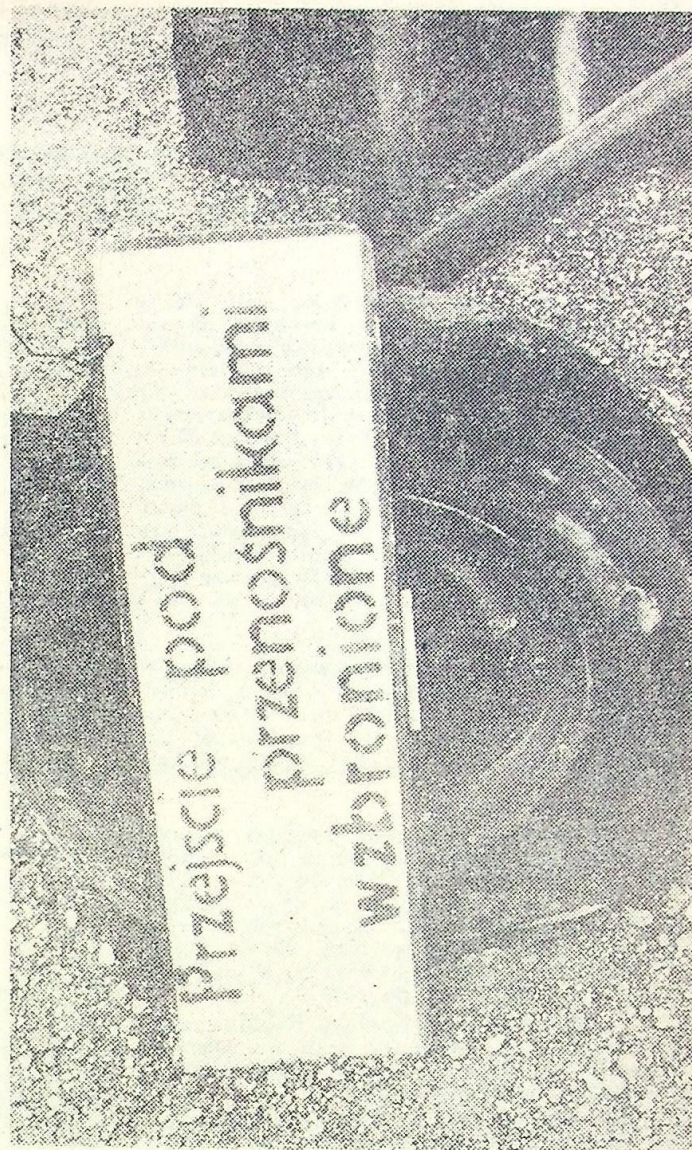
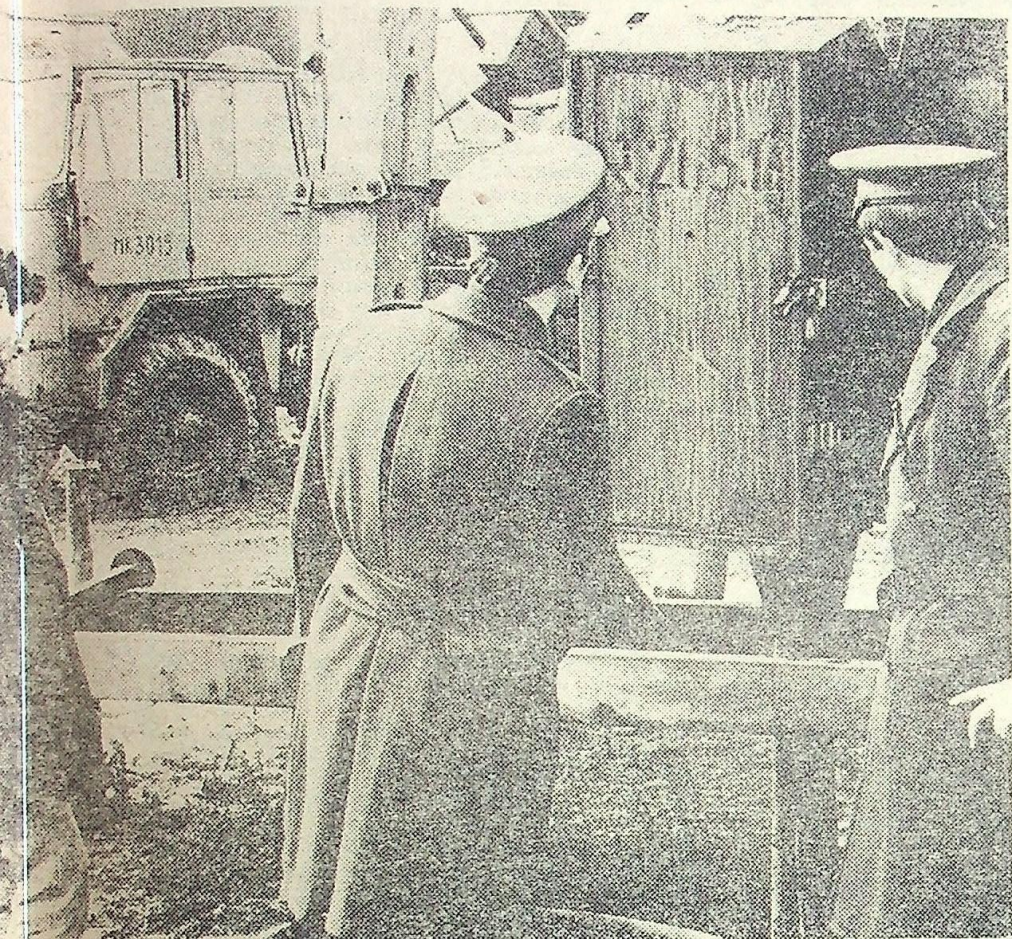
początku kw

kład porafi

dukcji, de

terenie.

YTA



to fragmenty pokontrolnego proto-

ezładnie rozstawione podzespoły
ci zamienne w trakcie remontu

25,
kładowanie prywatnej łódki pracow-

a placu zakładu,
ozciążnięte, pozostawione po prowa-
h robotach kawałki kabla YAKY
0 — 30 m i przewód YADY 4 x 10
30 m,

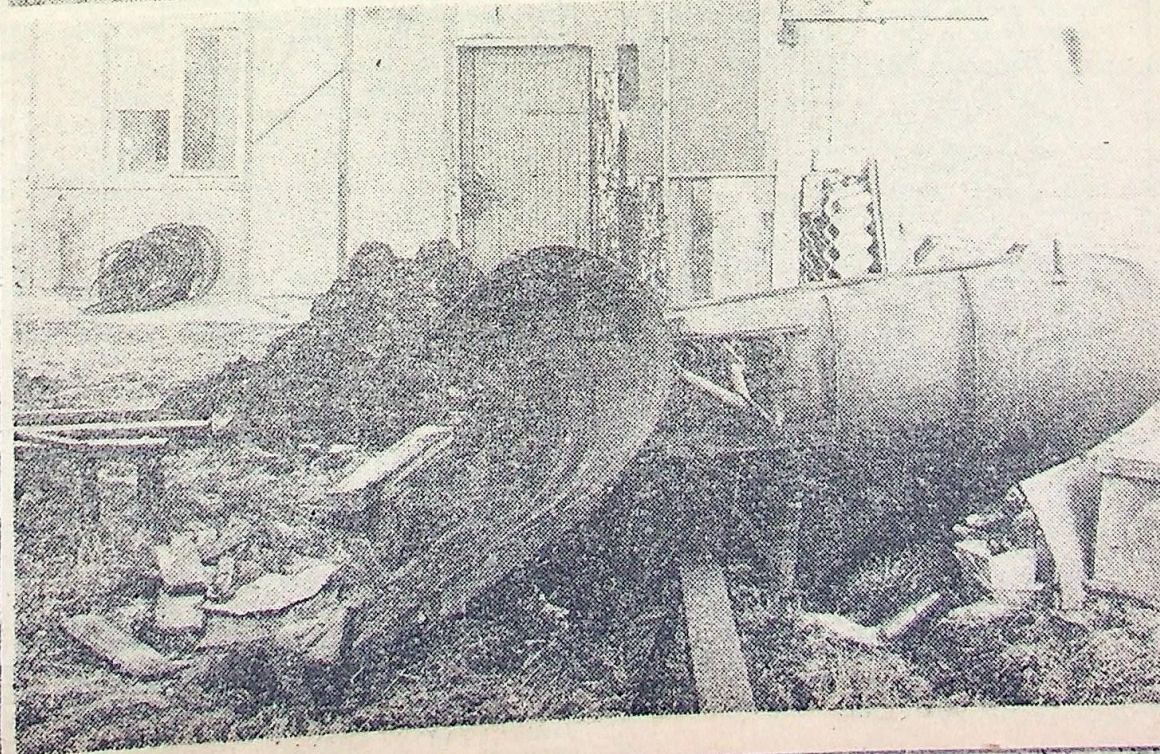
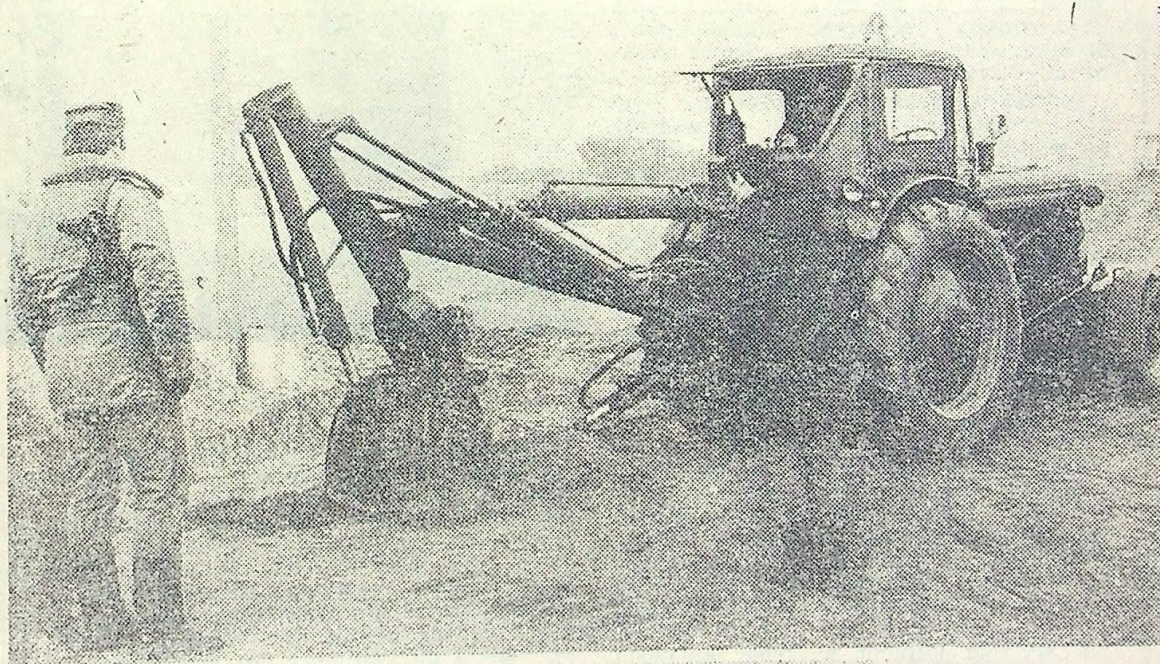
porzucane złomowane silniki elek-
e w starym, zniszczonym barakowozie,
rak karty badania gaśnicy oraz nie-
etny i niedbały punkt p.poż. przy sta-
wi.

iedbale składowane małe elementy za-
e — 12 sztuk, kręgi betonowe — 5
wła plugi odśnieżne,

asypany ziemią kabel YAKY 4 x 240
węzła uszlachetniania pospółki — wg
teżenia elektryka w ilości ok. 70 m,
iedbale wykonane prowizoryczne za-
rozdzielni skrzynkowej przy starej
transformatorowej.

ieralo się tego sporo. Dyrektor Nowak
miast. wyznaczył terminy uporządko-
tych spraw. Najbliższy termin to 17
ajdalszy — ostatni dzień marca. Zawie-
tan z Miejską Grupą Operacyjną na
ku kwietnia. Oby okazało się, że za-
potrafi przodować nie tylko w pro-
e, ale i w gospodarności na własnym
e.

FOTOREPORTAŻ KRZYSZTOFA RACZKOWIAKA



Człowiek siedzi przy obiedzie i gapi się w telewizor, na ekranie: smukła wieża szybowa — cięcie — tłum górników wywala się z windy — cięcie — z ogłuszającym rykiem toczy się opasły wóz odstawczy — cięcie — usmołona, spocona lecz uśmiechnięta twarz górnika — cięcie — na taśmociąg sypie się urobek — cięcie — na tle strzelistych budynków ktoś opowiada o trudzie i wzmożonym wydobyciu — człowiek klnie, bo zagapił się i przesolił zupę.

BOMBA WYPEŁNIONA MITEM

Kopalnia jest widowiskiem, gdy się ją ogląda z daleka, fachowo obrobioną na stole montażowym. Rzeczywiście jest, zupełnie inna. Górnik ciężko pracuje i częściej zlorzeczy niż się uśmiecha. I wcale nie jest bohaterem. Wykonuje niebezpieczny zawód. Wie o tym i boi się zwyczajnym ludzkim strachem — przewycięża go jednak i jest w tym chyba coś z heroizmu. Górnik jest twardy i cierpliwy, ponad zwykłą ludzką miarę — jak skała, jego wieczna towarzyszką i zjadły przeciwnik. I tak jak ona, gdy pękają granice wytrzymałości, czasem wybucha — goryczą i gniewem.

Taki wybuch był w Sierpniu. Zaczęła „Rudna” — największa kopalnia miedzi. Zaraz przyłgał do niej przydomek: „rewolucyjna”. Była to szczerza prawda, tak jak szczerzy i słuszny był gniew robotników.

Minęły miesiące.

14 grudnia 1981 roku nastąpił wybuch drugi. Ale wtedy nie było to już ani takie jasne, ani takie oczywiste. To już był dramat. Dramat polegający nie tylko na tym, że po jednej stronie stanęli robotnicy, a po drugiej siły porządkowe. Był to przede wszystkim dramat moralny: bo w imię czego ten protest?! I po co?!

Strajk wygasł 19 grudnia. Kopalnię zmilitaryzowano. Wstępny etap prowadzonej od nowa rekrutacji załogi wyeliminował z kopalni ponad 300 osób...

„Rudną” wzięto na języki; przez Polkowice, przez Lubin, przez Legnicę popęzła plotka: „Rudna” nie da się złamać, działa konspiracyjna komórka „Solidarności”, drukują ulotki... „Rudna” to bomba zegarowa — zegar chodzi...

Podczas grudniowego protestu nie było już sierpniowej solidarności: nie wszyscy go poparli, nie wszyscy wzięli w nim udział — tych ostatnich była większość. Mało kto o tym wiedział... plotka pęzła...

Wybrałem się do „Rudnej” 8 lutego. Miałem być pierwszym reporterem w tej kopalni po ogłoszeniu stanu wojennego. Skłamałbym pisząc, że nie odczuwałem obaw. Byłem w tej kopalni kilka razy, poznałem wielu wspaniałych ludzi, wiedziałem czego można po nich oczekiwać, a mimo to nie wiedziałem czy będą mówić ze mną szczerze.

Czas pokazał jak bardzo się myliłem...

Andrzej Januchta, nowy naczelny dyrektor kopalni poinformował mnie, że zakład pracuje w zasadzie normalnie i panuje w zasadzie normalna atmosfera. Dopiero w trakcie rozmowy wyjaśniło się na czym ta „w zasadzie normalność” polega.

22 stycznia nastąpiła w szybie skipowym bardzo groźna awaria, najpoważniejsza w historii kopalni. Żeby nie załamać wydobycia, trzeba było wydłużyć tydzień pracy z 6 do 7 dni. I to jest nienormalne. To po pierwsze. Po drugie — występują koszmarnie kłopoty zaopatrzeniowe i ledwie można związać koniec z końcem, i to jest także nienormalne. Po trzecie — stan wojenny zmilitaryzacja kopalni też jest zjawiskiem nienormalnym i rygorów stąd wypływających nikt nie przyjął entuzjastycznie. Jest za to wysoka dyscyplina, z pewnością jeszcze nie ta świadoma — wynikająca z autentycznego szacunku dla pracy, ale takiego zdyscyplinowania dyrektor nie pamięta. Nie ma bezmyślnych wandalizmów, nie ma markieractwa, zniknęły nieusprawiedliwione niebezpieczeństwa, polecenia wykonywane są natychmiast i bez dyskusji, co wcale nie znaczy, że w stosunkach przełożony — podwładny stosuje się zasady dzierżmordztwa. Efekt jest widoczny, bo mimo piramidalnych kłopotów wydobycie tkwi dokładnie w planie.

Dyrektor podał przykład: 15 stycznia rejon zachodni pobił rekord wydobycia w historii swego istnienia — niczym i przez nikogo nie zapowiadany! („Musiał pan wiedzieć, że w dzień wypłaty, tradycyjnie, zawsze była największa liczba awarii i najmniejsze wydobycie”).

Tak, to o czymś świadczy.

Potem długo rozmawialiśmy z Kazimierzem Jachimem I sekretarzem (też nowym) KZ PZPR. O ludziach, o przeszłości i o teraźniejszości.

Po pierwszym etapie prowadzonej od nowa rekrutacji załogi odpadło niewiele ponad trzysta osób. Byli wśród nich z reguły aktywni organizatorzy i uczestnicy strajku, wieczni malkontenci, wierzyciele i krzykacze, którym zawsze było bliżej do gadania niżli do roboty. O ponownym przyjęciu nie decydowała dyrekcja — decydował macierzysty oddział. Dał poręczanie — przyjęto, nie dał — nie, przyjęto. Tym sposobem te trzy setki z okładem stopniały w krótkim czasie do niecałej pięćdziesiątki. Za nich nikt nie chciał poręczyć.

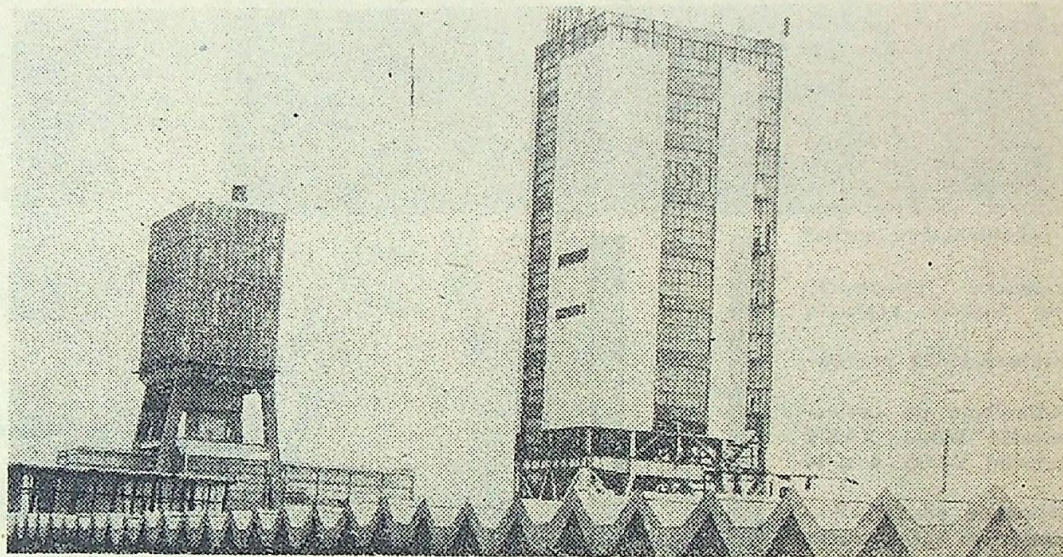
Był nawet taki przypadek, że załoga oddziału G-IV jak jeden mąż wystąpiła do dyrekcji, by nie przyjmować ponownie pana B. — bo nie chcą u siebie nieroba i dyskacza...

Sekretarz powiedział: Organizacja par-

kiędy zaczęli mnie odwiedzać i przynosić żale i bolączki, odkryłem, że w istocie są to drobiazgi, małe ludzkie sprawy, które może załatwić sztygar, kierownik jednym poleceniem, jednym pociągnięciem pióra. Potem przyszedł kolejny wniosek, że w wielu przypadkach dozór jest skostniały, zburokratyzowany, że traktuje ludzi jak przedmioty, jak kolejne sprawy do załatwienia. I powiem panu szczerze: Nie chciałbym, żeby niektórzy sztygarzy, kierownicy byli moimi przełożonymi... Czasem błędne decyzje dozoru wpływają na złą interpretację stanu wojennego, powodują wrogość i niechęć, rodzą bunt. Przyszedł do mnie robotnik z ZWR, ze łzami w oczach: Panie pułkowniku, mam dziecko w szpitalu, stan prawie beznadziejny, chciałbym pojechać, zobaczyć, a kierownik odmawia mi wolnego dnia. Powiada, że stan wojenny, kopalnia zmilitaryzowana

Oczywiście dostał ten wolny dzień. Ale on przyszedł. Ilu nie przyszło?..

Kierowca zgrabnie zawinął przed rzęście oświetloną komorę — warsztat remon-



Fot. Krzysztof Raczkowiak

tyjna chce walczyć o każdego człowieka bo każdy ma prawo do pracy. Każdy też może popełnić błąd. A wtedy trzeba dać mu szansę naprawy tego błędu. Z perspektywy czasu zupełnie inaczej ocenia się te same fakty. Chcemy budować jedność. W załodze, która powinna stanowić jedną wielką rodzinę, nie może być podziałów — ma być brat górnik. Bez względu na to czy należy do partii czy jest bezpartyjny. Tylko jednością możemy naprawić ten kraj, tylko jedność jest naszą szansą — jedyną i ostatnią. Na każdym zebraniu OOP powtarzam: członka partii winna cechować skromność i uczciwość, mądrość i rozwaga. Nie może się zdarzyć, by członek partii powiedział do swego kolegi: Ty mi nie gadaj, boś należał do „Solidarności”. Tym sposobem niczego się nie naprawi. W ten sposób można wszystko popsuć.

Tego dnia odwiedziłem jeszcze pułkownika Mariana Grzybowskiego, pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju, który już dziś swój pobyt w tej kopalni zalicza do tych męskich przygód i przeżyć, o których nie zapomina się nigdy...

Następnego dnia, tysiąc metrów pod ziemią, siedziałem w skaczącym po wybojach wozie transportowym, który niósł mnie labiryntem korytarzy do tych, co w kopalni pracują najciężiej — do górników.

Powróciłem w myślach do rozmowy z pułkownikiem. Zapytany jak znalazł kopalnię odpowiedział: Jadąc tu, wiedziałem o górnictwie tyle, ile się wie z telewizji, z prasy. Kiedy pierwszy raz zjechałem na dół i zobaczyłem w jakich niebezpiecznych warunkach i jak ciężko pracują ci ludzie, wiedziałem dyrektorowi Januchcie: To wspaniali ludzie, ale chyba bardzo łatwo czymkolwiek ich zdenerwować. Później

łowy oddziału G-II. Panowała cisza i bezruch. Za grubą kratą w „biurze” kierownika, w kręgu na ławach, siedzieli robotnicy. Na kolanach zawiniątka, pod nogami butle z kawą — trafillem prosto na śniadanie. Dobry czas, żeby pogadać. Ścisnąłem, po kolei, twarde, zaoliwione dłonie. Taksowały mnie uważne oczy...

Zaproponowałem, byśmy pogadali o wszystkim. Tak szczerze, od serca: o związkach zawodowych po Sierpniu, o robocie, o kopalni, o stanie wojennym, o grudniowym strajku...

Zapadło milczenie.

Przerwał je młody człowiek, siedzący tuż obok mnie (później dowiedziałem się, że nazywa się Henryk Siejkowski i pracuje pod ziemią już 7 lat): — Chyba trafił pan na zły oddział. Tu u nas zmilitaryzacja nie zmieniła niczego. Zawsze była dyscyplina, zawsze pracowaliśmy dobrze. Tak jest i dziś. To wszystko.

Ktoś z głębi potwierdził, że Siejkowski ma rację. I rozgadali się wszyscy. Że niektóre rygory powinny już być zniesione, oc jest spokój, pojechałoby się na wycieczkę, rodzinę odwiedzić, czy choćby na ryby. Że pożyczki dają z kasy tylko do dziesięciu tysięcy, chociaż niektórzy mają po 30 i po 40 tys. wkładu...

Napomknąłem o związkach i o strajku. I dyskusja przygasała. Ktoś coś bąknął, że związki (wszyscy tu należeli do „Solidarności”) w zasadzie nie robiły nic złego, no a z tym strajkiem, to jakoś nie tak wyszło. Wreszcie zaczęli demonstracyjnie spoglądać na zegarki, a to już znaczyło, że

(Dokończenie na str. 14)

Na dwudziestego ósmego stycznia tego roku wyznaczono dzień rozgrywki o ziemię, którą miasto Głogów potrzebuje pod budowę nowego osiedla mieszkaniowego, a gmina Głogów pod uprawę pszenicy i buraków. Sprawa ma kilkuletnią historię. Akurat wkracza w trzecią epokę. Nie rozstrzygnięto jej przed Sierpniem, kiedy wydawało się, że władza może wszystko. Nie przyniosła rozwiązania posierpniowa Odrowa. Teraz nastał czas kiedy żadna ze stron sporu nie chce już czekać...

Ostatecznie zawiła i długa droga konsultacji zaprowadziła głogowską kwestię na forum Komisji Wojewódzkiej Rady Narodowej. Od jej opinii będzie zależała decyzja o tym, czy Głogów zbuduje kolejną dzielnicę, czy na jej miejscu wiosną, jak zwykle zazielenią się pola.

Formalną podstawę do rozpatrywania tej sprawy przez radnych wojewódzkich dało pismo z 22 grudnia ub. roku, w którym prezydent Głogowa pisze do przewodniczącego WRN w Legnicy: „Na mieszkania spółdzielcze w Głogowie oczekuje obecnie 6400 kandydatów i członków, a w zakładach pracy 4500 w tym 3500 rodzin hutników i górników. Ogólne zapotrzebowanie wynosi zatem 10 900 mieszkań. Na osiedlu Kopernik można uzyskać 1000 mieszkań, na Starym Mieście i w zabudowie plombowej jeszcze ok. 1200. Końcowe efekty na Starówce wystąpią najwcześniej w roku 1990 ze względu na występujące tam trudności technologiczne przy wznoszeniu budynków oraz konieczność przeprowadzania wyprzedzających badań archeologicznych. Jedynym w tej sytuacji rozwiązaniem jest rozpoczęcie budowy osiedla „Piastów Śląskich” z ok. 9000 mieszkań dla 31 500 osób”.

DRAMATY I SPRZECZNOŚCI

Najgorzej, gdy wszyscy mają rację. Tak jest w sporze głogowskim. Potrzeba mieszkań i potrzeba żywności. Pytanie: Czego bardziej? Szukanie odpowiedzi zaczęło już tracić racjonalny grunt opartej o rzeczywiste argumenty dyskusji. W przedłużający się spór czas wlicza emocje. Im trwa dłużej, tym większe dramaty postaw i bardziej ostre sprzeczności interesów, podsycone w tygłu ambicji. Miasto poza osiedlem Piastów Śląskich nie widzi żadnej alternatywy budowania. Rolnicy nie widzą się poza opłotkami swoich dotychczasowych gospodarstw. To już poetyka emocji.

Bo przecież i miasto, i wieś znają słowo kompromis. Czy możliwe jest odnalezienie w Głogowie jego praktycznego, materialnego wymiaru?

KTO ZA, A KTO PRZECIW?

Przed radnymi Komisji Rozwoju Gospodarczego i Zagospodarowania Przestrzennego oraz Komisji Produkcji Rolnej i Gospodarki Żywnościowej ścierają się w czasie otwartej części zebrania dwa nurty. Miasto reprezentują przede wszystkim urzędnicy i dyrektorzy. Wieś — także zainteresowani rolnicy. Bitwę o głosy radnych rozpoczyna ostry atak Głogowa.

Prezydent miasta: — Mamy potencjał budowlany, zaawansowana jest dokumentacja osiedla, są olbrzymie potrzeby mieszkaniowe. Obserwujemy ciąg do Głogowa. Ludzie wolą dłużej poczekać na mieszkania, ale tu się sprowadzić...

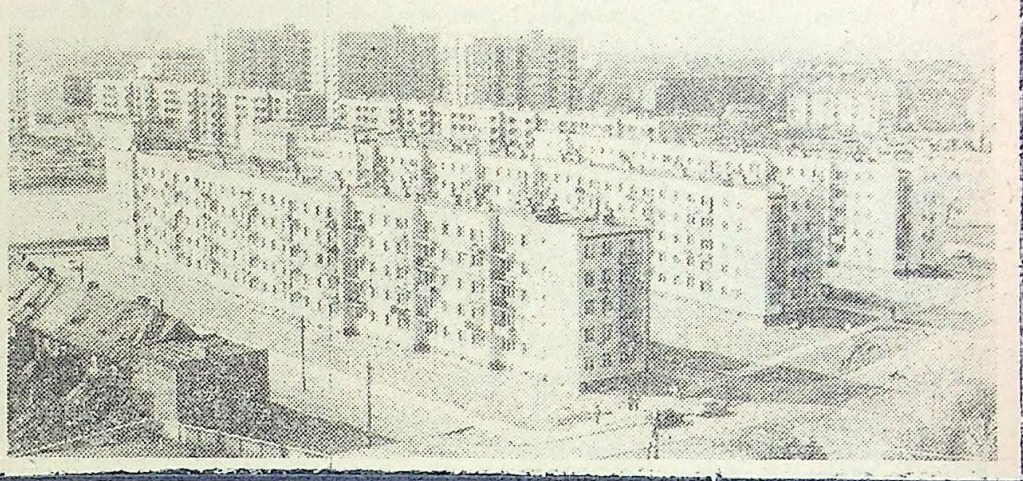
Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego: — Aktualny plan rozbudowy Głogowa wykonany był w latach 1975—77 i został w 1977 roku zatwierdzony przez Wojewódzką Radę Narodową. Weryfikacja przeprowadzona w roku następnym podtrzymała jego założenia. Najważniejszą kwestią jest skala miasta. W planie Głogów ma osiągnąć 120 tys. mieszkańców. Wynika to z potrzeb wojewódzkich i nie tylko. Głogów należy do grupy ok. 70 tzw. krajowych ośrodków wzrostu. Od czasu planowania sytuacja zmieniła się, ale potrzeby Głogowa nadal są aktualne. Tendencję wzrostową podtrzymuje choćby potrzeba lokowania przyrostu demograficznego. Powstaje pytanie — W którą stronę rozbudowywać miasto?

Na południe od Odry są bardzo dobre ziemie. Na północ — gleby gorsze, ale podmokłe. Inne bariery to huta miedzi i jej strefa ochronna, tereny specjalne na północy i południu, wzniesienia wzgórz Dalkowskich. Zdecydowano się na zajęcie dobrych ziem rolniczych. Zaplanowano na nich nowe osiedle oraz obiekty przemysłowo-skladowe wzdłuż linii kolejowej. Chodzi o przejęcie na potrzeby miasta 360 ha gleby I—III klasy. 93 ha z tej liczby znajdują się w granicach administracyjnych miasta. Reszta — w gminie głogowskiej.

Architekt wojewódzki: — Z powodu zaostreżenia przepisów o przekazywaniu gruntów rolniczych na cele nierolnicze w 1973 roku przeprowadziliśmy weryfikację planu zagospodarowania przestrzennego. W przypadku Głogowa potwierdziły się pierwotne założenia, przewidujące zmianę charakteru użytkowania docelowo ok. 700 ha gruntów rolnych. Zostały one również potwierdzone przez ekspertyzy ekonomiczne, dokonane w ubiegłym roku.

Przedstawiciel Ministerstwa Administracji i Głogów: — Sprawa ta jest bardzo ważna, ponieważ...

TERAZ NAS ZAŁATWIĄ...



nictwo mieszkaniowe zajęto w Polsce 2 proc. gruntów rolnych, zaś przemysł zajął 4 proc. Na tym tle inaczej wygląda problem głogowski. Należało się liczyć z tym iż lokalizacji zakładów LGOM musi towarzyszyć koncentracja budownictwa mieszkaniowego. Padają głosy, by budować poza dużymi miastami Legnickiego. Koszty zasiedlenia 1 m kw. razem z urządzeniami mieszkaniowymi zależą od klasy gruntów, infrastruktury technicznej oraz społecznej. Najniższe są w większych, istniejących już miastach. Gdybyśmy się zdecydowali budować poza Głogowem. Lubinem czy Legnicą, to mieszkania byłyby za ok. 10 lat, bo tyle trwałoby przygotowanie nowych terenów. Czy nas na to stać? Kwestia rozwiązania sprawy głogowskiej wiąże się też z podziałem kompetencji. O przekazaniu ziemi ma zdecydować Ministerstwo Rolnictwa, które nie przyjmuje do wiadomości problemów LGOM i nie jest odpowiedzialne za rozwój przemysłu miedziowego. W najbliższej dekadzie nie ma innego wyjścia, jak zrezygnowanie z części gruntów rolnych na rzecz budownictwa mieszkaniowego. Połowa tych gruntów w kraju jest źle traktowana agrotechnicznie. Nie atakujmy osadnictwa, lecz intensyfikujmy rolnictwo!

Przedstawiciel ministerstwa ocenia, że sprawa jest rozpatrywana w kategoriach emocjonalnych, a nie racjonalnych. Po tym stwierdzeniu pora na stronę przeciwną.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Głogowie: — Nasze stanowisko nie zmieniło się. Nie stoimy za tym, żeby nie budować, ale czy ktoś tu powiedział, gdzie rolnika z tym jego warsztatem przenieść? Na przykład rolnicy ze wsi zagrożonych przez hutę mają już konkretne propozycje przeniesienia się do innych miejscowości i wybudowania tam gospodarstw od podstaw. U nas rolnik nie ma przekonania, że w Głogowie nie ma już gdzie budować. Jak wygląda Kopernik? Na jednym hektarze stoją 1—2 budynki. Poza tym mam wątpliwości, czy za dziesięć lat nie będzie tu strefy ochronnej huty, która się stale przesuwająca. Miasto ma swoją rację i wieś ma swoją...

Naczelnik gminy Głogów: — Stoimy w martwym punkcie. To prawda, że trzeba postawić na intensyfikację produkcji rolnej, ale brak nawozów nie jest winą rolników. Mamy trudną sytuację żywnościową, a tymczasem u nas trzeba dwie wsie wysiedlić spod huty. Tysiąc hektarów stoi pod wodą. Teraz ziemi domaga się miasto pod zabudowę... Wszystko na gruntach pszenno-buraczanych.

STARE WĄTPLIWOŚCI

Sprawa głogowska obiegła prasę dolnośląską i nie tylko. Zainteresowała także telewizję. „Konkrety” zajmowały się nią ostatnio w styczniu ub. roku („Miejsce dla gminy”). Obszernie swoje racje wypunktowali urbanisci w „Gazecie Robotniczej” („Spór o miasto” — marzec 1981 r.). Stąd relacja ta pełna skrótów i ogólników — powtarzanie bowiem tych samych prawd nudzi, nie tylko zresztą Czytelników. Mimo to istnieje kilka punktów niejasnych. Takie wrażenie odnieśli również radni WRN i sprzeczowali je w pytaniach do odpowiedzialnych instytucji.

Po pierwsze, dlaczego Głogów ma być miastem 120-tysięcznym? Jest to kwestia...

dalszy bieg spraw. Najprostsza wersja odpowiedzi brzmi: liczba ta wynika z potrzeb przemysłu miedziowego określonych odpowiednimi wytycznymi Rady Ministrów jeszcze na etapie sporządzania planu rozwoju przestrzennego. Urbanisci zauważają wprawdzie, że od tego czasu Polska przeżyła wiele i wiele trzeba w myśleniu o niej zmienić (choćby perspektywę rozrostu (?) gospodarczego), jednak upierają się, że ogólnokrajowy trend nie dotyczy Głogowa. Jest to typowy przejaw myślenia kategoriami mieszczącymi się w tym co nazywamy patriotyzmem lokalnym. Inna strona tej logiki podpowiada, że żądając o wiele więcej, dostaniemy tyle, ile rzeczywiście potrzebujemy. Czyli zamierzając się do budowy miasta 120-tysięcznego możliwe, że zbudujemy kompletne 80- czy 85-tysięczne.

Po drugie, jakie są alternatywy rozwojowe Głogowa? Wiemy, że w pracowniach urbanistów rozstrzygnięto sprawę na rzecz budowy w kierunku najbardziej żyznych pól. Istnieją ponoć cztery wyjścia z głogowskiej sytuacji. Dlaczego utknęły one w archiwach?

Po trzecie, same władze stwierdzają, że Głogów jest jednym wielkim hotelem. Brakuje mu wszelkiej infrastruktury społecznej — kulturalnej, usługowej, handlowej itd. Nastąpiło więc zachwianie podstawowych funkcji, jakie powinno spełniać miasto. Czy budowa kolejnych mieszkań ma sens, skoro nie zapewniono godziwego poziomu życia obecnym mieszkańcom Głogowa?

Po czwarte, zachwiana została także równowaga rozwojowa w gospodarce głogowskiej. Wzrostowi liczby ludności miała towarzyszyć budowa nowych zakładów przemysłowych, o których dziś z wiadomych prozaicznych względów nie się nie wspomina.

Po piąte, skoro tak tragiczna jest sytuacja mieszkaniowa, dlaczego więc opieszale przebiegają prace przy budowie głogowskiej Starówki?

CZY CHCEMY TU MIEĆ WROCŁAW?

Z takimi i innymi wątpliwościami, niejasnościami i pytaniami radni przystąpili do wypracowywania opinii.

Kazimierz Szczepański: — Nie bardzo wiem, jakie zajęć stanowisko. Początek zła, to lokalizacja huty „Głogów”. Problem, czy to zło ciągnąć? Wojewoda powinien przedstawić przynajmniej dwie alternatywy rozbudowy Głogowa. Jak można mówić tak lub nie, gdy ma się jedno rozwiązanie? Nie wierzę w tak wysokie koszty budowania w Przemkowie. Statystykę można zresztą dostosować do swojej polityki. Myślę, że dziś nie rozstrzygniemy tej sprawy.

Ryszard Mioduszeński: — W piśmie prezydenta wymieniamy się kilka załączników, ale ich nie otrzymaliśmy. Były częściowo przedstawiane tu ustnie. W ten sposób można grać na naszych uczuciach. Mamy chyba takie wyjście, że albo zabieramy ziemię rolnikom, albo meliorujemy tereny podmokłe i tam budujemy. Co do pierwszego, to jestem przeciwny.

Józef Owczarek: — 360 ha razy 40 kwintali daje 14,4 tys. ton zboża rocznie. Taka jest cena budowania na ziemi najlepszej klasy. Uważam, że musi paść słowo, co z Głogowa ma być — czy chcemy tu mieć Wrocław? Jeżeli tak, to te 360 ha też nie...

Ze sportem zetknęło ją inwalidztwo. W dzieciństwie chorowała na Heine-Medinę. Pomimo starań lekarzy nie udało się jej uratować i zostało, typowe dla tego rodzaju schorzenia, trwałe kalectwo. Po licznych zabiegach i kilku operacjach, gdy przebywała w zakładach specjalistycznych we Wrocławiu i Przemysiu, zbliżyła się do sportu. Dwukrotnie nawet startowała w mistrzostwach Polski inwalidów w pływaniu i nawet raz udało się jej zdobyć brązowy medal. Równocześnie zaczęła uprawiać tenis stołowy, któremu wierna pozostała do dnia dzisiejszego. W roku 1977 znalazła się w Legnicy, podjęła pracę w spółdzielni „Odzież”, a ostatnio pracuje w „Legspinie”.

Alicja Eigner — bo o niej mowa — trafiła w Legnicę na dobry grunt do rozwijania swoich umiejętności sportowych. Zetknęła się z Andrzejem Haratymem, który prowadził zajęcia z inwalidami. Trener szybko dostrzegł duży talent, a uczennica wykazywała nie tylko widoczne zdolności, ale także chęć, upór i ambicję. Bardzo szybko zabrała się do systematycznych treningów. Każdego dnia przebywała w sali po 5–6 godzin, co nawet dla całkiem zdrowego człowieka było koiśką dawką.

Na efekty solidnej pracy nie trzeba było długo czekać. W 1977 r. rozgrywano mistrzostwa Polski we Wrocławiu, do których zgłoszono również Alicję. Wylosowała wprost fatalnie. Już w pierwszej rundzie gier indywidualnych trafiła na mistrzynię Polski — Marię Purgat z Łodzi. Nie widząc żadnych szans zagrała bardzo luźno i ku wielkiemu zaskoczeniu obserwatorów pewnie wygrała 2:0, stając się od razu czarnym koniem turnieju. Nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że może stanąć na najwyższym podium. Tak się jednak stało. Po zaskakującym zwycięstwie skoncentrowała się i wyraźnie pokonała pozostałe rywalki, wywalczając pierwszy tytuł mistrzowski.

— Już wtedy przekonałem się — mówi Andrzej Haraty — że jeżeli Ala się nie spali nerwowo, to może zająć bardzo daleko. Tak też było we Wrocławiu. Po ciachu położyłem na brązowy medal. Gdy jednak zobaczyłem grających, doszedłem do wniosku, że nic nie zrobi. Ala była stremowana, zdenerwowana i nawet wzięła mnie za wujka. Potrafiła jednak zdobyć się na luz w pojedynku z Purgat i pewnie wygrała. Potem wszystko poszło już gładko i do Legnicy wróciliśmy ze złotym medalem.

Mistrzostwo Polski zobowiązywało i wymagało zdwojonej pracy, gdyż za rok przyszło bronić tytułu. Tym razem mistrzowski turniej rozgrywano w Orluchowie. Występowała w roli faworytki i nie zawiodła oczekiwań. Nie przyszło to zbyt łatwo, gdyż w województwie nie miała po prostu z kim trenować. Sparrowała z kolegami, gdyż nie było kobiet zajmujących się tą dyscypliną. Turniej wygrała również przekonywająco i udowodniła że wrocławski sukces nie był dziełem przypadku. Zwróciło to na nią uwagę władz centralnych i w efekcie w sierpniu znalazła się w reprezentacji kraju na rozgrywany w Budapeszcie turniej o puchar spółdzielczości inwalidzkiej „Interpuchar”. Kolejny start i kolejny sukces — tym razem już międzynarodowy. Nie indywidualny a zespołowy. Indywidualnie startowała w tak zwanej grupie zdrowych i nie mogła mieć żadnych szans. Zdobyła natomiast wspólnie z łódzianką Teresą Wójcik złote w grze podwójnej.

Trzeci rok startów był podobny do poprzednich. Najpierw w kwietniu 1981 r. Alicja zwyciężyła w międzynarodowym turnieju w Monachium, a w październiku po raz trzeci wystartowała w mistrzostwach Polski w Olsztynie.

— Tym razem — stwierdza Alicja — musiałam się bardzo dobrze przygotować do tej imprezy. Występowałam w roli faworytki i wiadomo było, że przeciwniczki zrobią wszystko, aby mnie wyeliminować. Dlatego też wcześniej znalazłam się w Mędzychodzie na zgrupowaniu ekipy polskiej. Obóz prowadzony przez Krzysztofa Borne dał mi bardzo dużo, dlatego też w Olsztynie nie miałam większych kłopotów z wywalceniem po raz trzeci z rzędu — złotego medalu. Szybko też znalazłam się na zgrupowaniu kadry narodowej w Nowym Targu. Tam musiałam uczyć się grać na wóku, gdyż dotychczas grałam stojąc, a to zupełnie inna technika. Musiałam się jednak przyzwyczaić do

HAT TRICK ALI

nowych zasad, gdyż obóz poprzedzał wyjazd na zawody międzynarodowe w Budapeszcie, z udziałem 19 reprezentacji europejskich. Tam właśnie turniej kobiecy rozgrywany był na wókach. Jechałam po nauce i na nic specjalnego nie liczyłam. Po prostu miałam grać swobodnie, oswajając się i zdobyć pewną rutynę. Nie umiałam natomiast się psychicznie. Trenowałam jednak całymi dniami. W Nowym Targu miałam dobre sparring-partnerki i robiłam wszystko, aby jakoś się przestawić na nowy styl gry. Do Budapesztu pojechałam nas szóstka — czterech mężczyzn i dwie kobiety. Ekipa zdobyła tylko jeden medal. Ku zdziwieniu wszystkich, właśnie ja go wywalczyłam. Nie brązowy czy srebrny, ale ten najcenniejszy — złoty. Do tej pory zastanawiam się, jak się to stało. Wydaje się, że po prostu nie licząc na jakiegokolwiek sukcesy potrafiłam się skoncentrować i po pierwszych wygranych, dalsze przyszły już znacznie łatwiej.

— Wiele osób pyta mnie co daje systematyczne uprawianie sportu. Zawsze im odpowiadam, że bez tego czułabym się o wiele gorzej zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Sport dla mnie to nie tylko rehabilitacja. Znacznie ważniejsze są czynniki psychiczne. Po prostu czuję się pełnowartościowym człowiekiem i w ten sposób nie dostrzegam swoich dolegliwości. To właśnie sport sprawił, że jakoś — i to zupełnie dobrze — radzę sobie we wszystkich

sprawach — nie tylko zawodowych, ale również prywatnych. Od paru lat sama się utrzymuję. Nie czuję jednak samotności, gdyż czas mam bardzo wypełniony, stale kontaktuję się z ludźmi, którzy traktują mnie życzliwie i na równi ze mną cieszą się z moich sukcesów sportowych. Na moją postawę, sukcesy i samopoczucie duży wpływ ma trener. Żyje od dawna w przyjaźni i dzięki niej udawało nam się dotychczas i jestem przekonana, że udawać się będzie również w przyszłości. Dotychczasowe sukcesy cieszą mnie oczywiście, ale nie zaspokoili jeszcze moich ambicji. Dlatego też nadal pilnie trenuję, tak aby jeszcze raz znaleźć się w krajowej czołówce i zakwalifikować się do reprezentacji Polski na tegoroczną Olimpiadę Inwalidzka w Anglii.

W dniu dzisiejszym zostaną oficjalnie ogłoszone wyniki plebiscytu „Konkretów” na najlepszych sportowców i trenerów. Przez dwa miesiące Czytelnicy nadsyłali swoje propozycje i wytypowali dziesiątkę sportowców i piątkę trenerów. Na liście kandydatów nie znalazła się Alicja Eigner. Nie zapomnieliśmy jednak o niej i oczywiście zaproszono na tę uroczystość. Uznano ją bowiem za honorowego sportowca 1981 roku w województwie legnickim. Swoją dotychczasową pracę i dużymi osiągnięciami w pełni na to zasłużyła.

ZYGMUNT LUSZCZ



● W okresie zimowym dużą popularność cieszą się przełajowe wyścigi kolarskie. Ostatnio rozegrano je w Legnicy i Lubinie, a na starcie zawodów stanęło wielu znanych kolarzy z Dolnego Śląska i sąsiednich województw.

7 lutego w lasku złotoryjskim w Legnicy toczyła się walka o puchar Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej. W kategorii młodzików zwyciężył Milek, przed Makuchowskim, Millerem i Waldamem z Górnik Polkowice, wśród juniorów młodszych Makarczuk i Szymczak z Polkowic; w gronie juniorów członek kadry narodowej — Swinecki z RLKS Wrocław, a wśród seniorów Bonda z Górnik, przed Szczurem z RLKS. Puchar ZMW za zwycięstwo w klasyfikacji zespołowej zdobył polkowicki Górnik.

Rewanże za Legnicę odbyły się tydzień później w Lubinie — tym razem o puchar dyrektora miejscowego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Frekwencja też dopisała, a na starcie stanęło kolarze z 10 klubów, wśród których zdecydowanie najlepszym okazał się Górnik Polkowice. W poszczególnych kategoriach wieku najlepsze miejsca zajęli: młodzieży — 1. Błażejowski (Bizon Biegaków), 2. Kita (RLKS Wrocław), 3. Makuchowski (Górnik Polkowice); juniorzy młodszy — 1. Budyk (Górnik), 2. Szymczak (Górnik), 3. Bondaryk (Bizon); juniorzy — 1. Swinecki (RLKS), 2. Stępniewski, 3. Policht (obaj Karkonosze Jelenia Góra); seniorzy — 1. Bonda (Górnik), 2. Szajwaj (Karkonosze), 3. Mulkowski (Piast Nowa Ruda), 4. J. Szwin-ta (Karkonosze), 5. Pawlikowski (Karkonosze), 6. Szczur (RLKS).

● W legnickiej sali sportowej przy ul. Głogowskiej odbył się turniej siatkówki chłopców szkół podstawowych. Zwyciężyła SP 1 (opiekun Janusz Dutkiewicz), przed SP 4, SP 5, SP 1 — II zespół, SP 15 i SP 3.

● W mistrzostwach Legnicy szkół podstawowych w skoku wzwyż w poszczególnych kategoriach wieku zwyciężyli: dziewczęta — klasy V — Bogusława Sabińska (SP 1), klasy VI — Elżbieta Orzełowska (SP 1), VII — Justyna Szuwart (SP 4), VIII — Renata Lewandowska (SP 1); chłopcy: V — Jacek Kozłowski (SP 6), VI — Artur Łotasz (SP 10), VII — Andrzej Rudni (SP 10), VIII — Paweł Nawrocki (SP 6).

● W dniach 20 i 21 lutego odbędzie się wojewódzki finał ogólnopolskiego turnieju szachowego „Złota Wieża”, który tym razem rozegrany zostanie w klubie „Technik” w Jaworze. Początek turnieju w obu dniach o godz. 10.

● W zaległym spotkaniu o mistrzostwo ligi międzywojewódzkiej juniorów w boksie Chrobry Głogów pokonał Polonię Świdnicę 12:10. Punkty dla głogowian zdobyli: Górski, Grodzicki, Kaczmarek, Gąsowski i Kucharczyk — po 2 oraz D. Szczyrek i Wiatkowski — po 1.

● W rozegranym w Legnicy turnieju szermierczym we florecie kobiet zwyciężyła Violetta Malara (Zespół Szkół Spożywczych), przed Dorotą Adamek i Janiną Freikur z Zespołu Szkół Budowlanych.

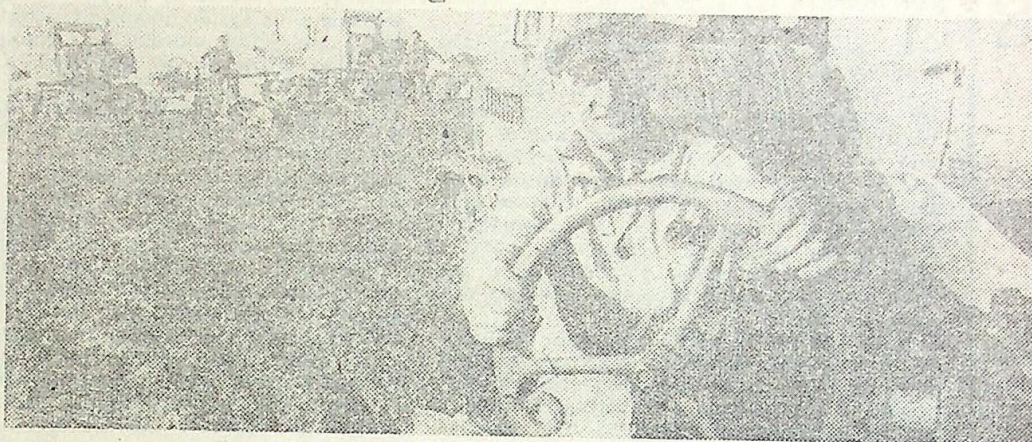
● Kolejowy Klub Sportowy „Piast” w Legnicy zorganizował turniej tenisa stołowego dla pracowników DRKP. Indywidualnie zwyciężył Mariusz Kuch, przed Leszkiem Romanowskim, Leszkiem Mrozem, Markiem Pelko, Piotrem Kłosowskim i Janem Zimonem, a w deblu para Krzak — Różycki, przed duetem Pelko — Kłosowski.

● W niedzielę, 21 lutego, rozegrane zostaną w Lubinie (obok dworca PKS) otwarte mistrzostwa Dolnego Śląska w kolarskich przełajach. Początek imprezy o godz. 11. Zawody te zapoczątkują cały cykl znaczących imprez kolarskich w województwie legnickim. I tak: 7 marca w Lubinie odbędzie się przełajowe mistrzostwa Polski juniorów, 4 kwietnia w Polkowicach — szosowy wyścig „Szlakiem Kopalń Miedzi”, a w dniach 23—25 kwietnia (baza w Głogowie) — tradycyjny wyścig „Szlakiem Grodów Piastowskich”.

● W sobotę i niedzielę, 20 i 21 lutego, w legnickiej sali przy ul. Głogowskiej rozegrany zostanie tradycyjny turniej siatkówki zakładów pracy o puchar prezydenta miasta. Początek zawodów o godz. 10.

— Właśnie! Czego się pan obawia? — płacę, ile trzeba, a urządzenie musi być proste w obsłudze, wytrzymałe i niezawodne w eksploatacji. Tak — mówi inż. TADEUSZ WRÓBLEWSKI z POM w Legnicy — rozumuje dziś rolnik. Jemu nie tyle zależy na pieniądzu, choć z kosztami się liczy, ile na otrzymaniu maszyny, na której mógłby absolutnie polegać.

CZEGO SIĘ PAN OBAWIA!



Pokażną grupę wniosków racjonalizatorskich stanowią projekty usprawnień maszyn rolniczych. Fot. Arch.

Sam pochodzę ze wsi i wiem, że jedną z najbardziej niewdzięcznych prac codziennych jest usuwanie ze stajni czy chlewu obornika, zwłaszcza gdy się ma nie piętę, lecz setkę czy więcej ogonów. Stąd mój projekt i potrzeba zmierzania się z tematem dotąd właściwie w kraju prawie nie rozpracowanym.

Czy mi się to udało? Jestem przekonany, że tak — choć nie ma urządzeń uniwersalnych, ciągle trzeba pracować nad ich ulepszaniem, śledzić eksploatację, a ja na to od dwóch lat nie mam możliwości. Dlaczego? No właśnie — cofnijmy się w czasie.

POM, w którym od dawna pracuję (Tadeusz Wróblewski reprezentuje grono młodych inżynierów-praktyków — studia w Poznaniu kończył systemem zaocznym) — specjalizuje się przede wszystkim w naprawie prás zbierających, ładowarek cyklop oraz w montażu, konserwacji i naprawach dożarek licencyjnych „Alfa-Laval”. O ile więc mechanizacja procesu udoju stoi u nas już na dobrym poziomie, to z usuwaniem odpadów nie potrafimy sobie, zwłaszcza w dużych obiektach poradzić. Dla mniejszej ilości stanowisk produkuje takie zgarniacze POM w Lubinie. W większych oborach pegeerowskich radzę sobie z tym różnie, np. łącząc dwa lub osiem zgarniacze lubińskie w jeden zespół. Odbywa się to jednak kosztem zmniejszenia stanowisk hodowlanych, a więc podraża znacznie eksploatację, nie mówiąc o stratach w mięsie czy mleku. My też produkowaliśmy i czynimy to nadal, jeśli są zamówienia, przenośnik obornika tzw. posuwisto-zwrony (współautorem projektu jest nasz inż. Jerzy Gryzbowski) ale poszukiwaliśmy innych rozwiązań.

Temat jest ważki, bo wiem, że dziś żaden młody rolnik nie podejmie się pracy bez mechanizacji. Zaczęłam od łańcucha, zasadniczego elementu zgarniacza o ruchu ciągłym. Udało mi się to. Uzyskałam patent, choć procedura otrzymania tego świadectwa ochronnego w Urzędzie Patentowym PRL przeciągała się dla mnie jak konstruktorowi w nieskończoność i nie mobilizowała zbytnio do dalszej pracy. Trwała od 10 sierpnia 1977 r. do 2 października 1980 r., a przecież łańcuch taki można było z powodzeniem szybciej spulcharyzować i wykorzystać w innych urządzeniach. Cóż, i tu pewnych biurokratycznych barier nie przeskoczysz, jak i innych, związanych np. z limitami materiałowymi.

W interesującym nas urządzeniu niezbędne były reduktory produkowane w kraju jedynie przez „Indukte” w Bielsku Białej i silniki. Po wielu zabiegach udało się wreszcie zdobyć kilka sztuk i systemem gospodarczym wyprodukować zgarniacz. Cena przed dwoma laty w zależności od długości ciągu (najdłuższy do 200 metrów) wynosiła od 120 do 170 tys. zł, czyli w dużym obiekcie zakup amortyzował się w przeciągu półtora roku. Dziś cena winna się kształtować o około 70 proc. drożej. Jej obniżenie zależy od organizacji u nas procesu wytwarzania, bo inaczej się on kształtuje przy kilku chałupniczym sposobem montowanych sztukach, inaczej przy produkcji serii. W naszych warunkach moglibyśmy rocznie wypuszczać ponad 50 egzemplarzy.

Zaoferowaliśmy ten wyrób rolnikom — częściowo za pośrednictwem prasy fachowej. Na razie odzew jest mały, a przyczyny upatrywałbym w niewiedzy, niedoinformowaniu.

W ciągu trzech ostatnich lat udało się POM-owi jako producentowi otrzymać na ten wyrób świadectwo państwowe. Teraz tylko bariera materiałowa stoi na przeszkodzie, choć w nowych warunkach może właśnie ją będzie można łatwiej pokonać.

Od początku r. 1979, po uzyskaniu opinii IBMER, wyprodukowaliśmy kilkanaście sztuk, obecnie kolejnych dwanaście zamówił kombinat PGR w Ornece w województwie elbląskim. Wcześniej „poszły” za Kamienną Górę, do spółdzielni produkcyjnej w Dębnie w województwie rzeszowskim i tylko kilka do hodowców w Legnickim. Jak widać, na własnym podwórku najtrudniej. Producent od żadnego z użytkowników w ciągu rocznego okresu gwarancyjnego nie miał żadnych reklamacji.

Zdały więc egzamin dwa elementy nowego urządzenia — łańcuch i automatyczne jego napinanie za pomocą przeciwcieżarów. Rzecz ma i inne zalety — cicho pracuje, nie „denerwuje” krów.

★ Tyle opowieści młodego konstruktora. Czy rzecz ruszy wreszcie z miejsca? Czy nadal sposobem chałupniczym, dlatego tylko, że jeden czy drugi rolnik dziesiątki razy monituje, zakład będzie „kapal” ledwie po kilka zgarniaczy rocznie?

Czy młodzi, zdolni ludzie, szukający nowych rozwiązań, muszą być mimo ogólnej zycziwości, osamotnieni w działaniu? Czy wreszcie ulegną zmianie przepisy o honorowaniu wynalazców? Oto niektóre z pytań, jakie padały w rozmowie z członkami sekcji mechanizacji rolnictwa Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa w legnickim POM-ie.

Bo w niedawnej przeszłości zdarzało się nawet tak — jak wspomina — że w pewnym momencie ani zakład, ani racjonalizator nie byli zainteresowani ulepszeniem.

Tak np. było (mówi inż. Władysław Ręwak z POM, mający również na swym koncie kilka ciekawych rozwiązań), gdy w 1977 r. opracowaliśmy urządzenie do regeneracji układu hydraulicznego siłowej ładowarki cyklop, dające poważny odzysk części, dzięki któremu planowane zyski POM z 12 proc. podskoczyły powyżej 24. Zakład musiał wtedy wypracować nadwyżkę odprowadzić do banku, a załoga na swej gospodarce właściwie nic nie zyskała.

Jak zmienia się „układy” po wkroczeniu na drogę reformy gospodarczej — pokaże czas. POM rejestruje już pierwsze jej symptomy. Mniej zamówień i maszyn do naprawy „spływa” z gospodarstw społecznych (co nie świadczy, że sprzęt ten jest do akcji wiosennej gotowy), więcej zleceń napraw kapitalnych ciągników jest od rolników indywidualnych (aktualnie w remoncie mamy 16 sztuk).

Czy tak samo będzie z wynalazkiem inż. Tadeusza Wróblewskiego — zobaczymy! Może wreszcie mechanizmy ekonomiczne ruszą. Dobrze, żeby już tej wiosny!

TADEUSZ ROLLAUER

JAK RODZIŁA SIĘ FORTUNA

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Ale prawdziwy okres prosperity w Ford Motor Company miał dopiero nastąpić. Już na rok przed pojawieniem się na rynku modelu „T”, Ford pisał na łamach prasy amerykańskiej: „Zamiarem naszym jest produkowanie samochodu przystosowanego specjalnie do codziennego użytku w handlu, pracy zawodowej i życiu rodzinnym. Samochodu o umiarkowanej cenie, dostępnego dla wielu tysięcy osób, które nie mogą pozwolić sobie na dotychczasowe kosztowne wozy”. Szeroko zakrojona akcja reklamowa sprawiła, że kiedy pod koniec 1908 roku pojawił się wreszcie oczekiwany model „T”, posypały się natychmiast tysiące zamówień. Wóz okazał się rzeczywiście wspaniały. Przede wszystkim spełniał wszystkie oczekiwania odbiorców. Prostą w obsłudze i budowie, posiadał średnią cenę 825 dolarów, dostosowany do istniejących dróg, jednocześnie zawierał wiele nowych rozwiązań technicznych, ocenianych wówczas jako rewelacyjne. Przeznaczony nie tylko dla mieszkańców miast, ale również dla farmerów, umożliwiał wykorzystanie silnika do napędu maszyn rolniczych. Swoje zalety ukazywał światu wygrywając wiele rajdów i wyścigów terenowych.

W ciągu pierwszego roku produkcji firma Forda sprzedała 11 tysięcy samochodów, wysuwając się zdecydowanie na czołowe miejsce wśród producentów zarówno pod względem produkcji, jak i osiąganych zysków. Sam Ford, któremu już wcześniej członkowie zarządu, zachwyceni świetlanym rozwojem Ford Motor Company, podnieśli miesięczną pensję z 300 do 3 tysięcy dolarów, zaproponował dywidendę w wysokości 1000 procent nominalnej wartości udziału. Nikt z akcjonariuszy, którzy kilka lat temu zakładali firmę, nie spodziewał się takich zysków. W tym samym czasie konkurencyjna firma General Motors chciała nabyć od Forda jego zakłady za osiem milionów dolarów.

Okres koniunktury należało wykorzystać możliwie szybko. Zaistniała potrzeba gwałtownego zwiększenia produkcji. Ford wiedział, że dotychczasowe metody produkcji nie sprostają rosnącym zadaniom. Dlatego postanowiono stworzyć od podstaw nowe zakłady, w których organizacja produkcji byłaby optymalna. W 1910 roku w miejscowości Highland Park pod Detroit stanęły nowe olbrzymie zakłady. Zajmowały powierzchnię 13 hektarów. Jeszcze przed zainstalowaniem maszyn przeprowadzono gruntowną analizę wszystkich procesów produkcyjnych, przy czym poszczególne operacje rozbito na możliwie proste zabiegi. Maszyny poustawiano w ten sposób, by etapy obróbki przebiegały płynnie jedna za drugą i pojedyncze części niczym dopływy rzeki spływały do hali montażowej. Udoskonalono transport międzyoperacyjny instalując specjalne pochylnie. Mimo to, po trzech latach od uruchomienia nowych zakładów, montaż wozu „T” trwał jeszcze ponad 12 godzin. Dopiero zastosowanie systemu „montażu w ruchu” pozwoliło skrócić ten czas o połowę. Następnym krokiem była taśma montażowa, zastosowana po raz pierwszy w świecie. Tym systemem montaż samochodu pochłaniał zaledwie 93 minuty. Podczas pracy taśmowej panowała wąska specjalizacja. Pracownicy wykonywali proste, pojedyncze czynności zgodnie z zasadą „jeden ruch — jeden człowiek”. System taki, choć wyczerpujący i uciążliwy dla robotników, zapewniał maksymalną produkcję i maksymalne zyski.

Oczywiście jeden człowiek, który nie posiadał technicznego wykształcenia, a wszelką lekturę uważał za marnotrawienie czasu nie mógł dokonać tak wielkiego dzieła, mimo swej pracowitości, wrodzonego sprytu, pomysłowości, wytrwałości i zamilowania do samochodów. Ford jednak zawsze potrafił przyciągać do siebie odpowiednich ludzi, którzy realizowali jego pomysły i proponowali swoje śmiałe rozwiązania. Jego pracownicy wielokrotnie wspominali, jak przychodził do biura konstrukcyjnego, przekazywał swoje pomysły, rysował na tablicy

i objaśniał. Jako generalny dyrektor interesował się każdym problemem zakładów. Jednocześnie potrafił przekonać swoich najbliższych współpracowników, że doprowadzenie produkcji do doskonałości jest sprawą honorową. W czasie intensywnego rozwoju zakładów w kierownictwie firmy panowała atmosfera prawie rodzinna. Grocho znakomitych inżynierów zespalał szczery zapal do pracy jakiego nie spotykano w innych zakładach. Była to zasługa samego Forda, który od najmłodszych lat posiadał niezwykle dar przekonywania ludzi, zarażania ich swoim entuzjazmem i wiarą, że tworzą wielkie epokowe dzieła. Aby podtrzymać ten nastrój, wielce pożyteczny dla firmy, przyjęto zasadę, że nie przyjmuje się do pracy członków rodzin kierownictwa. Wyjątkiem był tylko syn Forda — Edsel.

Ford, jak nikt inny, potrafił docenić wartość nowego pomysłu i jak nikt inny potrafił docenić jego autora. Zdarzało się, że szczególnie zadowolony z jakiegoś pracownika, brał go na stronę, wciskał mu plik banknotów i mówił: „Bierz chłopcze i zapomnij, że ci coś dałem”. W takiej atmosferze zakłady rozkwitły szybko, a nowatorskie rozwiązania techniczne były zjawiskiem codziennym. Wszystko było podporządkowane jednemu celowi — intensyfikacji produkcji i obniżeniu kosztów wytwarzania.

W zakładach Forda próbowano każdego pomysłu, nawet jeśli w innych przedsiębiorstwach nie zdawał egzaminu. Zrywano umowy kooperacyjne z dostawcami, którzy ośmielali się stawiać wysokie warunki cenowe, podpatrywano wszelkie innowacje techniczne w innych zakładach i jeśli okazywały się godne uwagi, natychmiast wprowadzano je w Company. Efekty tych wszystkich zabiegów okazały się imponujące: w 1925 roku wydajność zakładów osiągnęła poziom sześć wozów na minutę. O zyskach lepiej nie mówić.

Ford nigdy nie stanął w miejscu. „Dla

człowieka, który większą część życia spędził w warsztacie, nowe maszyny i mechanizacja produkcji stały się obsesją. Zachowywał się, jak człowiek miotany chorobą, że nie zdąży doprowadzić do końca wielkiego dzieła swego życia. Gdy reorganizowano jedną z linii produkcyjnych, nie opuszczał fabryki, dopóki zadanie nie zostało wykonane. Pożerany ciekawością, zjawiał się w zakładach już o siódmej rano, do biura wpadał jak po ogniu, a potem znowu wędrował z oddziału do oddziału, aby — Boże broń — nie uronić jakiegos nowego szczegółu technicznego”.

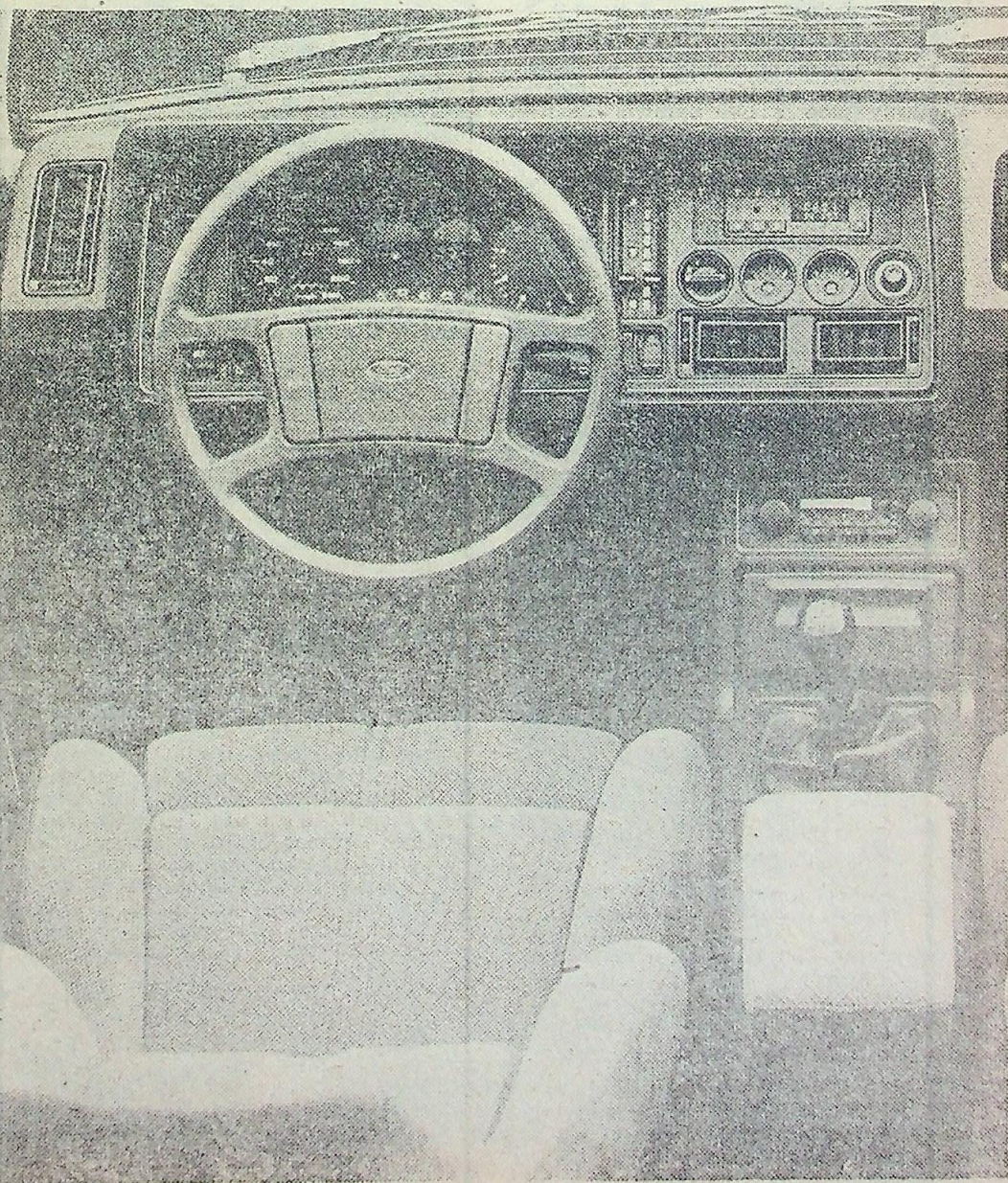
W trzydzieści lat po powstaniu Ford Motor Company, Ford posiadał swoje zakłady na pięciu kontynentach. Obok zakładów w Detroit posiadał kopalnie ropy w Kalifornii, kopalnie węgla, 900 tysięcy hektarów plantacji kaczuki w Brazylii, setki tysięcy hektarów lasów, huty szkła, banki, linie kolejowe, lotnicze, okrętowe. Jego zakłady produkowały prócz samochodów lokomotywy, turbiny parowe, generatory elektryczne, samoloty, stal, cement, papier, wyroby włókiennicze, sprzęt wojskowy. Stolicą tego swoistego imperium były zakłady River Rouge na przedmieściu Detroit. Dzielnica ta stała się największym centrum przemysłowym świata.

Henry Ford zmarł 7 kwietnia 1947 roku. Zegnało go tysiące ludzi. Legenda człowieka czynu pozostała żywa do dziś. O jego znaczeniu dla rozwoju Stanów napisano setki książek.

Ludzie jego pokroju potrzebni są w każdej epoce. Może właśnie u nas, w Polsce, jest to teraz najbardziej widoczne.

Opracował:
ANTONI NECZYŃSKI

Opracowano na podstawie: Larsen Egon: „Ludzie, którzy tworzyli przyszłość” Liebfeld Alfred: „Henry Ford, legenda i rzeczywistość”.



Oto jak konstruktorzy Ford Co. rozwiązyli koncepcję wnętrza limuzyny „Granada”.

Fot. arch.

TEŻ SPOSÓB

Pewna firma z Muchlhausen (RFN) dopuściła się niebywalego i masowego oszustwa. Oto do wszystkich wdów wysłała rachunki za rzekomo zamówione przez ich mężów przed śmiercią książki pornograficzne. Kobiety ze wstydem płaciły po około 30 dolarów. W końcu kanciarska firma wpadła. Gdy sprawa nabrała rozgłosu, nadeszły skargi od tysięcy wdów z RFN, Szwajcarii, Anglii i Francji.

NAPISALI POWIEDZIELI

— Prawda jest kluczem, a plotka wytrychem, którym otwieramy zamknięte dusze ludzkie.
— Człowiek ukazuje swój rozum nie tyle w odpowiedziach, ile w pyłaniach.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

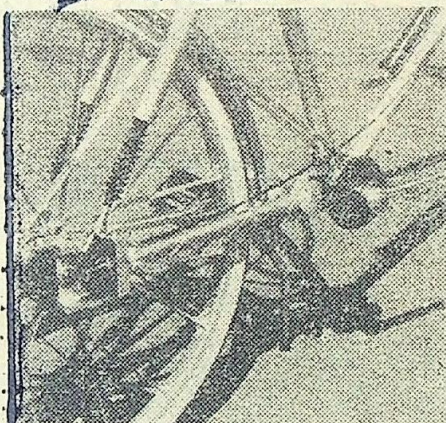
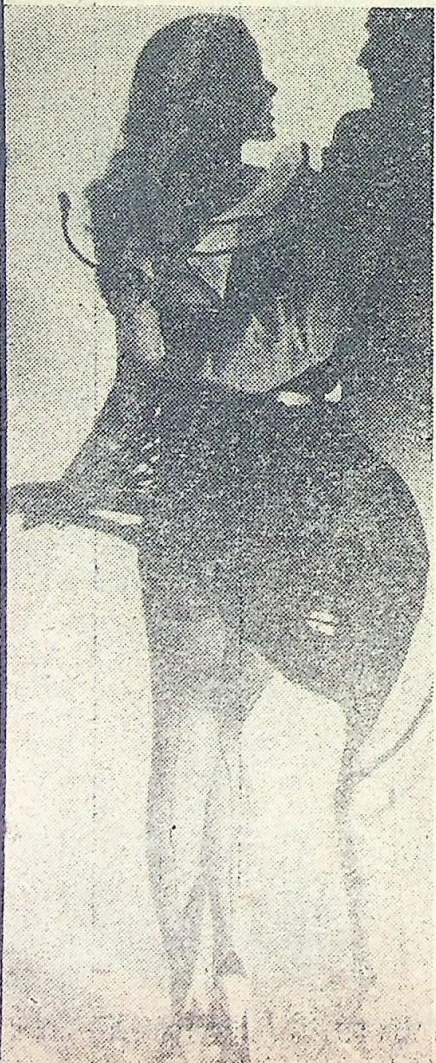


SZCZĘŚCIARZ

Wystarczy, że Julio Iglesias, 37-letni Hiszpan, dokona tylko małego wysiłku, by coś osiągnąć, przechodzi mu to z niebywale łatwością. Był najlepszym studentem na uczelni dzięki swojej niezwyklej pamięci, grając w piłkę w mądrych Realu był znakomitym graczem i przepowiadał mu świetną przyszłość, spróbował sił w śpiewie i jego piosenka „Hey” błyskawicznie znalazła się na czele list przebojów. A teraz zarabia krocie... pijąc szampana. W telewizyjnym programie reklamowym za jeden lyk szampana płaci mu 30 tys. dolarów.

NOWOŚĆ DLA PAŃ

Koniec z rajstopami i paskami do pończoch! Modna pani (na Zachodzie oczywiście) nosi teraz tylko pończochy z czarną opaską u góry. Nie na znak żałoby rzecz jasna. Opaska ta wykonana z elastycznego tworzywa i zaciśnięta na udach powoduje, że pończochy znakomicie się trzymają. Na dodatek czarny szew z tyłu sprawia, że nogi (prawie każde) wydają się smukłe i długie. Cena tej nowości jest 10 razy wyższa od standardowych rajstop (ok. 10 dolarów).



KONIEC Z ŁAŃCUCHEM?

Czyżby miał to być moment przełomowy dla konstruktorów i producentów rowerów? W zachodniemieckiej firmie Fendt i Hofgärtner wyprodukowano rower, w którym nie będzie już problemów ze spadającym łańcuchem. Zastąpiono go bowiem wałkiem Kardana. Pojazd przybrał co prawda na wadze i waży obecnie 19 kg, ale za to po za komfort i lekkość jazdy!

PRYWATNA STRZELNICA

Willi Vonbank, 45-letni były policjant z jednego ze szwajcarskich kantonów, założył pierwszą w swoim kraju prywatną szkołę strzelania. Organizuje kursy obchodzenia się z pistoletami i rewolwerami zarówno dla osób prywatnych, jak i dla pracowników ochrony. Posiada jedną z najlepiej wyposażonych strzelnic. Za 10 franków szwajcarskich (ok. 50 dolarów) na godzinę (amunicja gratis) można w ciągu dziesięciu lekcji opłacać umiejętność obchodzenia się z bronią palną.

Klientami Vonbanka są przede wszystkim pracownicy banków, burzownicy, stróża nocy i konwojerzy. Motyw dla nich jest hasło wymyślone przez ex-policjanta: „zadanych bronią — tylko umiejętność”. Większość prywatnych klientów chce nauczyć się strzelania sportowego. Ale są też tacy, którzy mają zamiar nosić broń dla własnej ochrony. Dla nich Willi Vonbank ma także hasło: „No, broń to naprawdę wielka od-”

GWIAZDY MÓWIA

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przyzwyczajeniem oka, a losów swoich gwiazdom nie powierzą...

BARAN (21 III—20 IV)
Nie pozbędziesz się tak łatwo kłopotów rodzinno-domowych. Zwłaszcza, że Twój brak zdecydowania i stałe granie na zwłokę robi swoje. W pracy zawodowej zupełnie nowe układy, do których — mimo pierwotnych zastrzeżeń — szybko się dostosujesz.

BYK (21 IV—21 V)
Wszystko jest na jak najlepszej drodze. Nie przejmuj się zbytnio drobnymi trudnościami, na które czas jest najlepszym lekarstwem. W kręgu spraw zawodowych — niebawem wydarzenie, w którym trzeba będzie wykazać się inicjatywą i rozsądkiem.

BLIŹNIĘTA (22 V—21 VI)
Ten tydzień nie będzie należał do najspokojniejszych. Pogmatwia się nieco sprawa rodzinna, którym ostatnio poświęcasz niewiele uwagi. Uważaj z wydatkami. Trzeba będzie porządnie zaciągnąć pas?

RAK (22 VI—22 VII)
Trochę odetchniesz na początku tego tygodnia i choć odpoczynek będzie krótki, nabierzysz sił i energii. Nastrój w domu nie najlepszy, ale podejrzliwość i scenami zazdrości niczego nie zmniejsz, zwłaszcza że weale nie jest tak jak myślisz.

LEW (23 VII—22 VIII)
Jakiś niewiele nauczyły Cię doświadczenia ostatnich tygodni. Musisz koniecznie zmienić swoje postępowanie, bo inaczej przegrasz i to tym razem definitywnie. Złotostokami nie zdobędziesz sobie niczyjej sympatii!

PANNA (23 VIII—22 IX)
W wiadomej Ci sprawie bardzo wiele będzie zależało od Twojego postępowania. Nie masz powodów ukrywać swojego przekonania co do dalszych poczynąń bliskiej Ci osoby. Zresztą tylko Twoje stanowcze działanie może w tym przypadku jeszcze wiele uratować.

WAGA — (23 IX—23 X)
Nie masz o co kruszyć kopii. Na małe problemy tym razem musisz machnąć ręką i nie walczyć z wiatrakami. Pod koniec tygodnia odkryja się przed Tobą nie spotykane dotąd możliwości w pracy zawodowej.

SKORPION (24 X—22 XI)
Do tej pory nie brakowało Ci opanowania i rozsądku, więc dlaczego — właśnie teraz, gdy cechy te są najbardziej potrzebne — wpadasz bez powodu w „czarną rozpacz”? Otrząśnij się z chwilowego przygnębienia i zabierz się do konkretnej pracy.

STRZELEC (23 XI—22 XII)
Tydzień okaże się w sumie udany, choć dwa jego pierwsze dni będą nieco nerwowe. Takowym postępowaniem odsuniesz od siebie burzę. Niebawem atrakcyjne spotkanie towarzyskie. Nowa znajomość okaże się bardzo sympatyczna, ale nie licz na zbyt wiele.

KOZIOROŻEC (23 XII—20 I)
Bardzo wiele w przyszłości może zależeć od tego, jak zachowasz się w ciągu najbliższych dni. Kawałtyską fantazją zjadałś niewiele, a już na pewno nie w stosunkach rodzinno-domowych. W pracy zawodowej — pełna stabilizacja.

WODNIK (21 I—20 II)
Czy nie uważasz, że ostatnio jesteś zbyt pewny siebie i zbyt zachwycony własnymi poczynaniami? Tymczasem na horyzoncie zbierają się burze. Na razie będą one niewielkie, ale w dużej mierze ich przebieg zależeć będzie od Ciebie. W domu spodziewaj się niezbyt miłych zmian.

KRYBY (21 II—20 III)
Ten tydzień może być dla Ciebie sporym pasmem sukcesów, jeśli spełnisz kilka warunków. Jakich? Zobaczysz już niebawem. List z daleka zaskoczy Cię i trochę zasmuci. Spróbuj pomóc. Uważaj na sprawy finansowe. Zbyt szalejesz z wydatkami!

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1 — nad Odrą, 4 — pieje, 7 — niezależnie, 8 — rodzaj bólu, 9 — agent, 10 — zgiełk, 11 — zasadowy węgiel miedzi, 14 — samorząd, 15 — wpływa do, 18 — grzeźawisko, 20 — pokaz, 21 — zbrojownia.

PIONOWO: 1 — wysoki dostojnik muzułmański, 2 — w oku się kreśli, 3 — usta-

lenie ceny, 4 — mała przydrożna, 5 — meskie dessou, 6 — rozprawa naukowa, 7 — imię, 9 — osiedlenie, 10 — „zetor”, 12 — część kapelusza, 13 — tescze nie spisek, 15 — miasto w Gdańskim, 17 — też mebel, 19 — przyprawa.

NA ROZWIĄZANIA krzyżówki z numeru 2 czekamy do 27 lutego br.

